

# Jan Łukasiewicz

---

## Pamiętnik (fragmenty)

---

Rocznik Historii Filozofii Polskiej 23, 313-380

---

2009/2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Łukasiewicz

## **Pamiętnik** **(fragmenty)**

Spuścizna po Janie Łukasiewiczu, Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego,  
Pamiętnik, sp 12/3 – wybór i opracowanie Piotr Surma.

5.5.1949 [s. 1]

Ojciec Bocheński przysłał mi dzisiaj książkę, którą napisał jeden z jego uczniów rzymskich. Przypominam sobie, że rękopis tej książki odbity na maszynie otrzymałem od autora w lecie roku 1938, gdy byliśmy na wakacjach w Konstancinie. Pamiętam wielką ilość znaczków pocztowych włoskich, którymi była oblepiona koperta. Mieszkaliśmy wtedy w tych pokojach w domu kasy, które były zarezerwowane dla prezesa kasy Lutostańskiego. Nie miałem sympatii do niego, ale w pierwszych dniach wojny, gdy spotkałem go w uniwersytecie, rozmawiałem z nim przyjaźnie i pożegnałem się z nim, podając mu rękę. Dowiedziałem się później, że Lutostański był ranny w pierwszym miesiącu wojny, a ponieważ miał cukrzycę, więc rana, choć nie była śmiertelna spowodowała śmierć jego.

Pan Pisarczyk powiedział mi dzisiaj, że był profesorem w Sandomierzu, i uczył polonistyki, a sam był uczniem profesora Kleinera we Lwowie. Kleiner był pochodzenia żydowskiego, a ponieważ był zawsze celującym uczniem, przeto przy doktoracie dostał od cesarza pierścień z brylantami. Gdy w drugim roku po otwarciu Uniwersytetu Warszawskiego Kallenbach przeniósł się do Krakowa, powołano do Warszawy na jego miejsce Kleinera. Przypominam sobie jego pierwszy wykład w auli Uniwersytetu Warszawskiego. Zaczynał się od słów: „Mówię, a Polska mnie słucha”. Kostanecki był zachwycony,

ale Stanisław Michalski irytował się, że Żyd jest profesorem literatury Polskiej. Po stabilizacji Uniwersytetu Warszawskiego Kleiner powrócił do Lwowa. Koledzy warszawscy pożegnali go u Fukiera, a Hryniewiecki wygłosił przy tej okazji piękne przemówienie. Po drugiej wojnie światowej Kleiner został profesorem w Uniwersytecie Katolickim w Lublinie.

6.5.1949 [s. 1a]

Dziennik Polski wychodzący w Londynie z 28 kwietnia 1949 w rubryce „Podłuchane” zamieścił następującą notatkę: Dowiaduję się z Polski, że w ostatnich tygodniach Polska Akademia Umiejętności pod wpływem uporczywego nacisku komunistów zdecydowała się skreślić z listy członków 18 wybitnych polskich naukowców, przebywających za granicą. Motywacja tej politycznej uchwały głosi, że P. A. U. skreśliła swych członków za bezczynność. Nie ogłoszono jeszcze imiennej listy usuniętych. Wiadomo jednak, że chodziło tu [o] skreślenie tych przedstawicieli Polskiej nauki, którzy przebywają na emigracji i są zdecydowanie wrogo ustosunkowani do obecnego reżimu. Spośród członków zwyczajnych i członków korespondentów P. A. U., przebywających za granicą, warto dla orientacji przytoczyć niektóre nazwiska: J. Kucharzewski, O. Halecki, M. Kukiel, J. Łukasiewicz, W. Folkierski, T. Brzeski, W. Komarnicki, A. Turyn, H. Paszkiewicz, F. Pułaski i A. Tarski.

[W drugiej notatce z dnia 6.5.1949 (s. 1a) Łukasiewicz opisuje spotkanie ze swoim kuzynem Janem Dyduszyńskim podczas wakacji roku 1938, oraz jego śmierć w roku 1944.]

9.5.1949 [s. 2]

Wczoraj był dzień św. Stanisława biskupa. Były to imieniny Leśniewskiego. W ostatnie swe imieniny leżał już w tym szpitalu, w którym miał w pięć dni później umrzeć. Leśniewskiego poznałem we Lwowie w roku 1912. Mieszkałem wówczas wraz z wujem przy

ulicy Chmielowskiego 10. Pewnego popołudnia ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Otworzyłem drzwi i ujrzałem młodego człowieka z jasną, spiczastą bródką, w kapeluszu z szerokimi kryzami i dużą czarną kokardą, zawiązaną w miejsce krawatki. Młody człowiek skłonił się i zapytał uprzejmie: „Czy tu mieszka pan profesor Łukasiewicz?”. Odpowiedziałem, że tak. „Czy może szanowny pan jest profesorem Łukasiewiczem?” zapytał się nieznajomy. Odpowiedziałem, że tak. „Jestem Leśniewski i przychodzę pokazać panu artykuł w korekcie, który napisałem przeciw panu”. Poprosiłem gościa do pokoju. Okazało się, że Leśniewski drukuje w „Przeglądzie Filozoficznym” artykuł, zawierający krytykę pewnych moich poglądów, wypowiedzianych w mojej książce *Zasada sprzeczności u Arystotelesa*. Krytyka ta była napisana z taką ścisłością naukową, że nie było do niczego się przyczepić. Pamiętam, że gdy po godzinnej dyskusji Leśniewski pożegnał się ze mną, a ja wyszedłem jak zwykle do Kawiarni Szkockiej, oświadczyłem czekającym kolegom, że likwiduję swój interes logiczny. Powstała bowiem firma, której konkurencji nie wytrzymam.

10.5.1949 [s. 3]

W marcu 1914 umarł w 85 roku życia wuj matki mojej Jan Dyduszyński, stary kawaler, który mieszkał z rodzicami moimi od lat trzydziestu. W testamencie zapisał mi większą część swego majątku, składającego się z papierów wartościowych. Było tego około 20.000 koron austriackich. Majątek ten był dla mnie w owej chwili bardzo pomocny. Nie miałem dotąd katedry. Byłem tylko docentem prywatnym z tytułem profesora, a napięte stosunki z Twardowskim, od którego wszystko zależało, nie wróżyły rychłego awansu. Odziedziczony majątek dawał mi samodzielność. Postanowiłem z początkiem roku akademickiego, to jest w jesieni roku 1914, porzucić wykłady we Lwowie i wyjechać na studia do Londynu. Stało się inaczej. Dnia 26 czerwca, gdy w towarzystwie Balzera i Abrahama jako Zarządu Towarzystwa Popierania Nauki Polskiej wracałem od

dobrodzieja Towarzystwa Orzechowicza z Kalnikowa, dobiegła nas wiadomość o zamachu na arcyks. Franciszka Ferdynanda w Sarajewie. Atmosfera polityczna stała się groźną. Czulo się wojnę w powietrzu. Wiadomość o mobilizacji zastała mnie w pociągu pospiesznym, idącym z Krakowa do Lwowa, na stacji w Rzeszowie. Wracalem z Zakopanego, dokąd pojechałem na pogrzeb kolegi i przyjaciela swego, Bronisława Bandrowskiego, który spadł z Granatów i zabił się. W kilka dni później wybuchła pierwsza wojna światowa.

[Pod datą 11.5.1949 (s. 4) Łukasiewicz wspomina zajęcie Lwowa przez Rosjan w roku 1914 i okupację miasta.]

12.5.1949 [s. 5]

Na wiosnę 1915 roku zaczęto przebąkiwać, że szykuje się wielka ofensywa na Rosję. W maju przybiegła wiadomość, że wojska austriackie i niemieckie przełamały front rosyjski pod Gorlicami. Artyleria rzuciła tyle pocisków na linie rosyjskie, że Rosjanie przeżarani uciekali przed siebie. Widziało się po ich twarzach, że wojnę przegrali. Chociaż Gorlice oddalone były od Lwowa o przeszło 200 kilometrów, od razu w dwa dni po przełomie Rosjanie zaczęli umykać ze Lwowa. Jednakże wojska austriackie wkroczyły do Lwowa dopiero 22 czerwca. Pamiętam ten dzień bardzo dobrze. Było pogodnie i gorąco. Mój kolega Marian Borowski miał na ten dzień wyznaczoną promocję na doktora praw. Gdy około południa wyszliśmy z uniwersytetu po promocji na miasto, ujrzelśmy z ulicy Akademickiej, że na ratuszu, na którym powiewała dotychczas trójkolorowa flaga rosyjska, zawisła czarno-żółta chorągiew austriacka. Ludność szalała z radości. Ale wnet radość ta ustała. Zaczęły się twarde rządy wojenne. Kto tylko był zdolny do noszenia broni, tego brano do wojska. I mnie wzięto także. Tymczasem nadeszła jesień i zaczęły się wykłady w uniwersytecie. Wniosłem podanie o reklamację. Rektorem był Twardowski, który przez całą zimę siedział w Wiedniu i przybył do Lwowa dopiero po jego oswobodzeniu. Reklamację otrzymałem za

poparciem uniwersytetu. Rozpocząłem wykłady, ale skończyło się na jednym wykładzie. Pewnego dnia bowiem otrzymałem wezwanie, by stawić się w Rektoracie. Gdy wszedłem, Twardowski powstał, zrobił poważną minę i rzekł: „Imieniem rządu austriackiego mam zaszczyt zaproponować panu stanowisko wykładowego w Uniwersytecie Warszawskim. Czy pan je przyjmuje?” Oczywiście przyjąłem. Była to jedna z przełomowych chwil w moim życiu. Kończył się Lwów, zaczynała się Warszawa.

14.5.1949 [s. 6]

Warszawa została zajęta przez Niemców w dniu 5 sierpnia 1915. Władze niemieckie chciały sobie pozyskać Polaków przeciw Rosji i dlatego robiły im koncesje. Generał-gubernator Beseler oświadczył, że rząd niemiecki otworzył w Warszawie uniwersytet polski i wezwał polski komitet obywatelski do współpracy w tej sprawie. Nie rząd austriacki, jak powiedział Twardowski, powołał mnie na wykładowego do uniwersytetu, tylko komitet polski utworzony w Warszawie. Rząd wiedeński był tu tylko pośrednikiem. Uniwersytet Warszawski miał być otwarty w dniu 15 listopada 1915. Już na wiele dni przed tym wyjechałem ze Lwowa, pozostawiwszy mieszkanie swoje pod opieką pani Skowrońskiej. Zatrzymałem się naprzód w Krakowie, miałem bowiem tylko paszport austriacki, ale nie miałem przepustki do okupacji niemieckiej. W Krakowie złożyłem wizytę ówczesnemu rektorowi uniwersytetu Kazimierzowi Kostaneckiemu. Spotkałem u niego brata jego Antoniego, który był także powołany do Warszawy. Odtąd razem staraliśmy się o przepustkę do Warszawy, ale bezskutecznie. Tymczasem zbliżał się dzień otwarcia uniwersytetu. Postanowiliśmy jechać bez przepustek. Pod wieczór dojechaliliśmy do Żąbkowic, gdzie zaczynała się okupacja niemiecka. Idziemy do kasy po bilety. Tłumaczymy urzędnikowi, że musimy być na otwarciu uniwersytetu, żeby nas puścił bez przepustek. Widzimy po jego minie, że to nie robi nań żadnego wrażenia: „Haben Sie Entlausungsscheine?“, to znaczy, „czy mają panowie świadectwa odwszenia“ pyta nas. „Jeśli nie, to panowie

nie mogą dziś jechać pociągiem pospiesznym, tylko jutro rano pociągiem osobowym”. I widzimy jak zajeżdża na stację pociąg pospieszny i za kilka chwil znika w ciemnościach, w kierunku Warszawy.

14.5.1949 [s. 7]

Nazajutrz przybyliśmy do Warszawy w sam czas, by być na otwarciu uniwersytetu. Generał-gubernator Beseler, który mieszkał w Belwederze, przyjechał do uniwersytetu w powozie zaprzężonym w cztery białe konie, zrabowane podobno w królewskiej stajni w Brukseli. Usiadł w auli na fotelu, i słuchał przemówień. Główną mowę wygłosił rektor uniwersytetu, Józef Brudziński. Był to młody stosunkowo lekarz chorób dzieciennych, pracownik naukowy w swoim fachu i działacz społeczny. Poznaliśmy go od razu po przyjeździe i bardzo nam się podobał. Brudziński powitał nas, to znaczy Kostaneckiego i mnie, bardzo serdecznie, bo zależało mu na profesorach, mających tradycje akademickie. Wśród grona wykładających nie było takich ludzi zbyt wielu. Sam Brudziński nie miał tradycji akademickich, bo nie był nigdy przedtem profesorem, ale wczuwał się w nie znakomicie i przykładł do nich wielką wagę. Prorektorem uniwersytetu był profesor fizyki z Fryburga Szwajcarskiego, Józef Wierusz Kowalski. Było zresztą więcej Fryburczyków w uniwersytecie. Sam Kostanecki był profesorem we Fryburgu, zanim objął katedrę ekonomii w Politechnice Lwowskiej. Tak samo sędzia uniwersytecki, Ignacy Koschembahr Łyskowski, był profesorem we Fryburgu, zanim objął katedrę prawa rzymskiego w uniwersytecie Lwowskim. Znany polonista profesor Józef Kallenbach ze Lwowa, był także kiedyś profesorem we Fryburgu, a teraz przeniósł się na jeden rok do Warszawy. To byli najwybitniejsi wykładający warszawscy z tradycjami akademickimi. Oni też weszli do pierwszego senatu akademickiego. Spośród innych wykładających wyróżniał się dziekan wydziału prawa, Alfons Parczewski. Był to stary adwokat, wysoki, ubrany w zaplamiony czarny surdut z wiecznym cygarem w ustach i jednym jedynym złotym zębem w górnej szczęce. Nazywano go Bardem, bo należał

podobno do walijskiego stowarzyszenia Bardów. Wykładał prawo kościelne. Po stabilizacji uniwersytetu przeniósł się do Wilna, gdzie został rektorem i niedługo potem zmarł. Inną interesującą postacią był Adam Antoni Kryński, pierwszy dziekan wydziału filozoficznego. Był to już wtedy bardzo stary człowiek, który nie interesował się rzeczami, tylko ich nazwami. Gdy raz z Kostaneckim zastanawialiśmy się nad tym, kto to może być Ganszyniec, którego Niemcy wyciągnęli z frontu i popierali na wykładającego filologię klasyczną, Kryński powiedział: „Ganszyniec? To przecież Gąsienica.”

Na tym sprawa dla niego była zakończona. Swoją drogą pomylił się, bo „Ganszyniec” zdaje się znaczy tyle co „Gęsiniec”, i pochodzi o gęsi, nie zaś o gąsienicy.

15.5.1949 [s. 8]

W skład pierwszego senatu akademickiego, utworzonego w jesieni 1915, weszli: Brudziński jako rektor, Wierusz Kowalski jako prorektor, Łyskowski jako sędzia, Parczewski jako dziekan wydziału prawa, A. A. Kryński jako dziekan wydziału humanistycznego, J. Lewiński jako dziekan wydziału przyrodniczego i Leon Kryński jako dziekan wydziału lekarskiego. Ponadto każdy wydział wybrał do senatu po jednym przedstawicielu. Przedstawicielem prawa był Kostanecki, wydziału przyrodniczego Zygmunt Woycicki, Warszawianin, lecz już od kilku lat profesor botaniki we Lwowie, przedstawicielem wydziału lekarskiego był Edward Loth, a humanistycznego byłem ja. Zbieraliśmy się na posiedzenie co tydzień, a po posiedzeniu chodziliśmy gremialnie do restauracji Hotelu Europejskiego. Wykłady z filozofii rozpocząłem z końcem listopada, obok mnie wykładał filozofię Władysław Tatarkiewicz. Kotarbińskiego nie było jeszcze w uniwersytecie, nie było także Sierpińskiego, który był wówczas profesorem uniwersytetu Lwowskiego, ale siedział w Moskwie razem z Leśniewskim. Matematykę w Warszawie wykładali Stefan Mazurkiewicz oraz Zygmunt Janiszewski, najzdolniejszy z młodych matematyków, który miał niebawem umrzeć. Wśród pierwszych studentów filozofii był Stanisław



Ossowski, późniejszy profesor socjologii, który przychodził na wykłady wraz ze swoim dziadkiem, uczniem dawnej Szkoły Głównej oraz Maria Niedźwiedzka, przyszła żona Ossowskiego i profesorka uniwersytetu. Na matematykę chodził kuzyn Handelsmana, późniejszy profesor matematyki Kazimierz Kuratowski, który odgrywał wówczas dużą rolę jako przywódca młodzieży. Brudziński nazywał go młodym Napoleonem. Na wykłady moje z filozofii chodziła wtedy także panna Ochocka, która wyszła niebawem za mąż za pana Dobrzyńskiego, późniejszego konsula generalnego i ministra polskiego w Dublinie. W roku akademickim 1916-17 wydziały humanistyczny i przyrodniczy zostały połączone w jeden wydział filozoficzny i dziekanem tego wydziału zostałem ja. Ten drugi rok istnienia Uniwersytetu Warszawskiego nie był tak sielankowy, jak pierwszy. Młodzież zaczęła się burzyć przeciw Niemcom. Tymczasem Niemcy wspólnie z Austrią proklamowały 5 listopada 1916 roku utworzenie Królestwa Polskiego i powoli zaczęły powstawać władze polskie z Radą Regencyjną na czele. Do tych nowych władz polskich należało Ministerstwo Oświaty, które miało objąć opiekę nad Uniwersytetem Warszawskim. Na rok akademicki 1917-18 rektorem został wybrany Kostanecki, bo dotychczasowy rektor Brudziński był już ciężko chory i zmarł w grudniu 1917. Zostałem po nim prorektorem uniwersytetu, lecz już w kilka tygodni później powołany zostałem do ministerstwa na szefa Sekcji Szkół Wyższych.

16.5.1949 [s. 9]

Dwie osobistości, związane z pierwszymi latami uniwersytetu Warszawskiego zasługują na wspomnienie, chociaż nie byli to profesorowie. Jedną z nich był Kurator uniwersytetu, hrabia Hutten-Czapski, właściciel Smogulca w Wielkopolsce, podpułkownik huzarów pruskich i osobisty przyjaciel cesarza Wilhelma II. Był on bardzo niemczony, ale uważał się za Polaka. Jako pośrednik między Uniwersytetem a władzami niemieckimi oddał Uniwersytetowi duże usługi. Niemcy nazywali go, nie wiem dlaczego, Kakao. Był

to pamiętam stary już człowiek, który chodził w popielato-szarym mundurze oficerskim, a na galowe przyjęcia kładł na głowę wysoką czapę z kitą. Byłem przy tym, jak składał oficjalną wizytę rektorowi Brudzińskiemu. Wszedł do salonu z czapą w rękę i nie wiedział, co z nią zrobić. Postawił ją wreszcie na dywanie pod stołem. Za czasów polskich starał się o order Polonia Restituta i otrzymał wielką wstęgę tego orderu, za to, że cały swój ziemski majątek zapisał na rzecz Uniwersytetu i Politechniki w Warszawie. Umarł w podeszłym wieku na kilka lat przed wojną. Drugą postacią, związaną nierozdzielnie z Uniwersytetem Warszawskim, był jego pierwszy sekretarz Antoni Jabłoński. Był to z pochodzenia ziemianin, a z wykształcenia prawnik. Uniwersytet zdawał się uważać jako swój folwark. Rządził nie tylko urzędnikami i służbą uniwersytecką ale uważał, że i profesorowie, a nawet sam rektor powinien go słuchać, pomniejszych zaś docentów traktował podobno per ty. Jak w uniwersytecie Jabłoński, tak na podwórku uniwersyteckim rządził jego pies Ciupuś, złośliwy czarny jamnik. Mimo to Jabłońskiego wszyscy lubili, bo całym sercem był przywiązany do Uniwersytetu. Umarł w Wiedniu, wracając z Abacji do Warszawy.

17.5.1949 [s. 10]

Od marca 1918 aż do grudnia 1919 roku byłem w Ministerstwie Oświaty. Z początku nie miałem dużo roboty, bo właściwie tylko dwie wyższe uczelnie warszawskie podlegały ministerstwu. Najważniejszą sprawą było utworzenie wydziału teologicznego, i na ten temat konferowałem z przedstawicielem władz duchownych ks. Kanonikiem Antonim Szlagowskim, późniejszym profesorem i rektorem uniwersytetu, oraz biskupem sufraganem warszawskim. Z podwładnych mi urzędników jednym był inż. Tomczycki, poprzednio urzędnik w Uniwersytecie a na etat drugiego urzędnika wprowadziłem Leśniewskiego, któremu udało się właśnie wydostać z Moskwy, gdzie przebywał podczas wojny razem z Sierpińskim, i przybyć z żoną do Warszawy.

17.5.1949 [s. 11]

Nadeszła jesień 1918 roku. Cesarz austriacki Karol ogłosił manifest do swoich kochanych ludów, że z dniem 1 listopada zwalnia ich z przysięgi na wierność i mogą sobie robić co im się podoba. Kraków od razu zrobił się polskim i poprosił Austriaków, by zabrali się do Wiednia. We Lwowie było gorzej. Tam Austriacy oddali miasto Ukraińcom, którzy zajęli wnet całe miasto. Tylko garstka młodzieży Polskiej chwyciła za broń gdzieś pod dworcem i w ciężkich walkach zaczęła pędzić Ukraińców z ulicy na ulicę. Aż 22 listopada generał Roja przyszedł z odsieczą i uwolnił miasto. W Warszawie rozbrojono Niemców 11 listopada. Był to dzień, w którym zakończył się pierwsza wojna światowa. Rada Regencyjna, utworzona przez Niemców, przekazała władzę Piłsudskiemu, który z więzienia w Magdeburgu wrócił do Warszawy. Piłsudski zapowiedział zwołanie Sejmu i utworzył rząd z socjalistą Moraczewskim na czele. Ministrem oświaty w tym rządzie został Ksawery Prauss, socjalista, człowiek spokojny i już wówczas ciężko chory na gruźlicę. Prauss objął Ministerstwo po profesorze Politechniki Antonim Ponikowskim, który był ministrem za czasów okupacji niemieckiej. Żona Ponikowskiego, lwowianka, była uczennicą Twardowskiego. Twardowski był w ciągu października w Warszawie i miał zgodzić się na objęcie stanowiska wiceministra oświaty. Ale Ponikowski nie zdążył już tej nominacji przeprowadzić. Tak się stało, że Twardowski nie został nigdy ministrem oświaty i do końca życia nie opuścił Lwowa<sup>1</sup>. Zaczęły się teraz czasy pełne zdarzeń i pracy. Najbliższą sprawą, która mnie szczególnie obchodziła, była to sprawa stabilizacji Uniwersytetu Warszawskiego. Uniwersytet ten nie miał dotychczas profesorów, tylko tymczasowych wykładowców. Nie można było podczas wojny powołać profesorów w sposób akade-

---

<sup>1</sup> Być może jest to aluzja do faktu, iż Twardowski otrzymał od Paderewskiego propozycję zastąpienia Łukasiewicza na stanowisku Ministra Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych, jednak ze względów proceduralnych a następnie w związku z dymisją rządu, stanowiska tego nigdy nie objął. Patrz: K. Twardowski, *Dzienniki*, Warszawa 1997, t. I, s. 123-124.

micki i nie miał ich zresztą kto powołać. Teraz na mój wniosek Rada Ministrów uchwaliła utworzyć komisję złożoną głównie z profesorów krakowskich i lwowskich, która miała wypracować wnioski w sprawie obsadzenia katedr. Stanisław Michalski wymógł na mnie, by nie zaprosić do komisji żadnego Żyda.

19.5.1949 [s. 12]

Z końcem grudnia 1918 przybył do Poznania, który właśnie przedzielił był Niemców, Józef Ignacy Paderewski. Przywitano go uroczyście, bo był to nie tylko jeden z najwybitniejszych twórców polskich na polu muzyki, ale odgrywał w owej chwili dużą rolę w polityce ze względu na swe stosunki z prezydentem Wilsonem. Z Poznania Paderewski udał się do Warszawy gdzie doszło do porozumienia się prawicy, reprezentowanej przez Paderewskiego, z reprezentantem lewicy Piłsudskim. Gabinet Moraczewskiego otrzymał dymisję, a na jego miejsce powstał rząd koalicyjny z Paderewskim jako premierem. Stało się to o ile pamiętam, 18 stycznia 1919 roku. Paderewski obok premierostwa objął tekę spraw zagranicznych, ministrem spraw wewnętrznych został późniejszy prezydent R. P. Wojciechowski, wśród innych ministrów zasługują na wymienienie minister skarbu Englich, minister sprawiedliwości Supiński, minister rolnictwa Janicki, minister spraw wojskowych generał Leśniewski. Ministerstwo oświaty zostało obsadzone w dwa dni później. Ministrem oświaty zostałem ja.

20.5.1949 [s. 13]

Wiadomość, że jestem upatrzony na ministra oświaty, przyniósł mi na dzień przed tym Władysław Wróblewski podówczas wiceminister w Prezydium Rady Ministrów, późniejszy prezes Banku Polskiego i brat profesora krakowskiego Stanisława Wróblewskiego, późniejszego Prezesa Polskiej Akademii Umiejętności. Pan Wróblewski odwiedził mnie w moim mieszkaniu, mieszkalem zaś wówczas w pensjonacie „Jaskółka” panny Tekli Nałęcz Swaryczowskiej przy ulicy Jasnej NO. 6. Mieszkalem tam od pierwszej chwili przy-

jazdu do Warszawy. Pensjonat polecił nam, to jest Kostaneckiemu i mnie, Kallenbach, który tak także zamieszkał. Kostanecki mieszkał w „Jaskółce” aż do ożenienia się swego w roku 1916. Krócej lub dłużej mieszkali tam profesorowie Bronisław Dembiński, Władysław Mazurkiewicz, Gustaw Przychocki oraz agent dyplomatyczny rządu austriackiego, hofrat Rosner. Siadywaliśmy wszyscy przy głównym stole, przy którym siedziała właścicielka pensjonatu. Chwile obiadu i kolacji były bardzo miłe, bo Rosner, który siedział przy naszym stole, był świetnym i dowcipnym causer'em. Był to człowiek średniej wysokości, brunet o semickich rysach. Zajmował nie tylko stanowisko hofrata w wiedeńskim ministerstwie dla Galicji, ale był także posłem do austriackiej Rady Państwa. Opowiadano sobie, że był przysłany do Warszawy, by pilnować interesów austriackich wobec Niemców. Miewał częste konferencje z późniejszym Generałem Sikorskim, który był pułkownikiem w legionach.

W ministerstwie w chwili mego mianowania wrzała gorączkowa praca. Sejm miał się zebrać w pierwszych dniach lutego, a przed jego zebraniem się trzeba było w drodze dekretów ustawodawczych załatwić różne pilne sprawy, które nie mogły czekać, aż Sejm je kiedyś załatwi. Dzień w dzień odbywały się wiele godzin trwające posiedzenia Rady Ministrów, na których i słuchać trzeba było różnych obcych spraw i samemu referować także sprawy po pobieżnym zaznajomieniu się z nimi. Spośród licznych dekretów, które musiałem referować przypominam sobie szczególnie jeden, który miał związek z moimi wizjami szkolnymi.

21.5.1949 [s. 14]

Ojciec mój był rotmistrzem żandarmerii austriackiej i życzył sobie, by się dobrze nauczył po niemiecku. Oddał mnie dlatego do jedyne go gimnazjum niemieckiego, istniejącego we Lwowie. Gimnazjum to po wprowadzeniu języka polskiego do szkół galicyjskich pozostało niemieckim, bo było przeznaczone dla dzieci urzędników i oficerów pochodzących z Austrii, a nie umiejących po polsku. Niemieckość

gimnazjum była zagwarantowana ustawowo. Nie można więc było wprowadzić do tego gimnazjum języka wykładowego polskiego drogą rozporządzenia ministerialnego, lecz można było je spolszczyć tylko na mocy ustawy. Sprawa był nagła, bo nie było sensu utrzymywać z funduszków państwowych szkoły, która nie miała uczniów, skoro już nie było Austriaków we Lwowie. Nie można było czekać aż Sejm znajdzie czas by załatwić tę drobną stosunkowo sprawę. Przeprowadziłem więc na Radzie Ministrów spolszczenie gimnazjum, do którego sam kiedyś chodziłem. Na wieczną pamiątkę rzeczy dekret w sprawie spolszczenia II. Gimnazjum państwowego we Lwowie nosi obok podpisu Piłsudskiego i Paderewskiego także mój podpis.

Z kolei wypadało zająć się rozpoczętą już sprawą stabilizacji Uniwersytetu i Politechniki w Warszawie. W tym celu zwołałem do Krakowa posiedzenie komisji, powołanej do przeprowadzenia stabilizacji, i przybyłem do Krakowa, by osobiście dokonać otwarcia posiedzenia. Komisja zebrała się w Collegium Novum, to jest w głównym budynku Uniwersytetu Jagiellońskiego. Imieniem Uniwersytetu przywitał mnie ówczesny rektor ks. Sieniatycki, dawny profesor lwowski. Powiedział mniej więcej tyle, że dawniej Uniwersytet witał w swych progach królów polskich, teraz królów nie ma, więc dobrze jest przywitać przynajmniej ministra polskiego. Po otwarciu posiedzenia Komisji Stabilizacyjnej wróciłem do Warszawy. Komisja pracowała przez czas dłuższy i wyniki swej pracy przedstawiła ministerstwu. Ministerstwo zatwierdziło wnioski komisji, aczkolwiek nie wszyscy zgadzali się na nie. Pewna liczba wykładowców warszawskich nie otrzymała katedr, nie mając odpowiednich kwalifikacji. Były więc kwasy i niezadowolenia, ale nie można było tego uniknąć.

25.5.1949 [s. 15]

Pracy w ministerstwie w tym pierwszym roku niepodległości Polski było powyżej uszu. Szkolnictwo trzeba był organizować od dołu do góry. Departamentem Szkół Powszechnych kierował Gąsiorowski, Departamentem Szkół Średnich Tadeusz Łopuszański, mój następca

w godności ministra oświaty; w Departamencie Szkół Zawodowych rządził Miklaszewski, dyrektor Akademii Handlowej i także późniejszy minister, dyrektorem Departamentu Szkół Wyższych i moim następcą był Adam Wrzosek, profesor patologii w Uniwersytecie Jagiellońskim, późniejszy profesor historii medycyny w Poznaniu. Nie mogłem się zająć wszystkimi działaniami szkolnictwa w jednakowy sposób, z natury rzeczy obchodziło mnie najbardziej Szkolnictwo Wyższe. Za mego urzędowania powstały dwa nowe uniwersytety, mianowicie Uniwersytet Poznański i Wileński, oraz jedna nowa wyższa szkoła techniczna, Akademia Górnicza w Krakowie. W tym czasie ani Poznań ani Wilno nie należały do terytorium będącego pod władzą Ministerstwa. Poznań miał swe władze lokalne, które luźno tylko były związane z Warszawą, a Wilno jeszcze nie należało do Polski i było pod zarządem wojskowym ze względu na stan wojenny z Rosją. Zarówno Poznań jak i Wilno dążyły do posiadania Uniwersytetu, a w tym dążeniu Sekcja Szkół Wyższych Ministerstwa Oświaty i jej Kierownik Wrzosek był dla nich największą pomocą. Komisja Stabilizacyjna dla Uniwersytetu Warszawskiego rozpatrzyła także „prywatnie” sprawę Uniwersytetu Poznańskiego, którą ze strony Poznania forsował znany lekarz tamtejszy dr Świącicki, późniejszy pierwszy rektor Uniwersytetu Poznańskiego. Poznańcy zakrzęcali się rażno około dzieła, tak że w maju 1919 roku mogło nastąpić otwarcie uniwersytetu. Na otwarcie zostałem zaproszony jako minister i pojechałem do Poznania razem z szefem sekcji Wrzoskiem i Kostaneckim, który był właśnie rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Stosunek ówczesny Poznania do Warszawy najlepiej charakteryzuje fakt, że na granicy Poznańskiego i dawnego Królestwa odbyła się w pociągu rewizja celna.

23.5.1949 [s. 16]

Poznań przyjął mnie bardzo serdecznie. Na uroczystości otwarcia uniwersytetu byłem obok kardynała Dalbora i rektora Świącickiego jedną z głównych figur. W przemówieniu, które wygłosiłem, położyłem nacisk na to, by przyszedł uniwersytet nie tylko kształcił

zawodowców, ale stał także na wysokim poziomie naukowym. Poza otwarciem uniwersytetu wizytowałem szkoły powszechne i średnie. Byłem między innymi na godzinie psychologii i mogłem stwierdzić osobiście, jak nauczyciel zgodnie z niemiecką metodą nauczania wbijał chłopcom w głowę niezrozumiałe dla nich formułki.

Inny nieco charakter miała uroczystość otwarcia uniwersytetu w Wilnie. Uniwersytetem Wileńskim interesował się sam Piłsudski, z którym miałem na ten temat rozmowę w Belwederze. Otwarcie uniwersytetu odbyło się w jesieni 1919. Na otwarcie zjechał sam Piłsudski i wielu dostojników z całego państwa. Byli obecni biskupi, między innymi Sapięha z Krakowa i Łoziński z Pińska, generałowie, doktorowie uniwersytetów polskich, rektor Halban ze Lwowa był nawet w todze rektorskiej. Obecny był także syn Adama Mickiewicza Władysław, który przybył z Paryża na tę uroczystość. I w Wilnie wygłosiłem mowę, zaraz po Piłsudskim, w której wyraziłem życzenie, by nowy uniwersytet stał się i dla Litwinów siedliskiem nauki.

Ostatnią uroczystością było otwarcie Akademii Górniczej w Krakowie. I na tę uroczystość przyjechał Piłsudski. Pamiętam raut w Sukiennicach, na którym Piłsudski spotkał się z arcyks. Karolem Stefanem z Żywca. Mówiono, że arcyksiążę w zamian za pozostawienie mu majątku gotów był pomóc Polsce na polu stosunków międzynarodowych, a ponadto część swoich lasów gotów był przeznaczyć na rzecz Akademii Umiejętności.

Sejm tak zwany ustawodawczy zebrał się w Warszawie w pierwszych dniach lutego 1919. Zagaił go najstarszy wiekiem poseł książę Radziwiłł z Berlina, ojciec Janusza. Marszałkiem obrany został Wielkopolanin Wojciech Trąmpczyński. W Sejmie nie bywałem często i tylko raz jeden przemawiałem. Nie było czasu chodzić do Sejmu, bo oprócz codziennego urzędowania w ministerstwie, trzeba było po wiele godzin siadywać na posiedzeniach Rady Ministrów. Ministrem byłem niespełna jedenaście miesięcy, a więc około 320 dni, a przez ten czas odbyło się 100 posiedzeń Rady Ministrów, czyli co trzeci dzień przeciętnie. Posiedzeniom przewodniczył Paderewski, gdy był



w Warszawie, gdyż wiele miesięcy spędził w Paryżu na konferencji pokojowej, zakończonej traktatem wersalskim. W zastępstwie Paderewskiego przewodniczył Wojciechowski, minister spraw wewnętrznych. W jesieni było rzeczą jasną, że gabinet Paderewskiego musi ustąpić. Paderewski nie cieszył się sympatią Piłsudskiego i nie miał poparcia u lewicy. „Naręcza kwiatów społeczeństwo znieść ci powinno”, mówił do niego w sejmie Daszyński, „ale nie być ci premierem”. Traktat wersalski był podpisany, Paderewski był już niepotrzebny. W pierwszych dniach grudnia gabinet ustąpił. Wraz z gabinetem ustąpiłem i ja.

26.5.1949 [s. 17]

Opuszczając ministerstwo z uczuciem ulgi po przeszło 20-miesięcznym urzędowaniu, od marca 1918, kiedy zostałem szefem sekcji, do grudnia 1919. Nie czułem się dobrze jako urzędnik. Nie pociągała mnie władza. Praca w Ministerstwie, gdzie często musiałem decydować w sprawach, na których się nie znałem i których nie mogłem poznać z braku czasu, nie przynosiła mi zadowolenia. Zdarzały się chwile niezbyt przyjemne. Pamiętam, jak raz zaprosił mnie na konferencję do Sejmu przywódca ludowców Wincenty Witos. W rozmowie ze mną wysunął żądanie, by tego a tego nauczyciela mianować kuratorem, a innego znów wizytatorem uskarżając się, że „Pan Minister na nas nie łaskaw”. Obiecałem Witosowi, że rozpatrzę te sprawy, ale wychodziłem z Sejmu z uczuciem niesmaku. Obsadzając wyższe stanowiska w szkolnictwie, miałem na względzie przede wszystkim kwalifikacje kandydatów, nie zaś ich przynależność partyjną. Od tego czasu zraziłem się do Witos, i Witos do mnie, a ponieważ partia, której Witos przewodniczył, miała duże wpływy w Sejmie, przez to zawdzięczałem temu, że nie wszedłem do nowego gabinetu jako minister oświaty. Został nim szef Sekcji Szkół Średnich Tadeusz Łopuszański. Po ustąpieniu z urzędu ministra zostałem mianowany od 1 stycznia 1920 zwyczajnym profesorem filozofii, w Uniwersytecie Warszawskim. Chcąc po przerwie wdrożyć się na nowo do pracy

naukowej, wziąłem półroczny urlop i wyjechałem do Lwowa. We Lwowie miałem jeszcze własne mieszkanie przy ulicy Wronowskiej N-3, powyżej mieszkania moich krewnych Dydużyńskich. Tam też zamieszkałem, ciesząc się, że pozbyłem się urzędu i jestem znowu we Lwowie. Te miłe chwile nie trwały jednak długo. Zbliżała się burza od wschodu. Wojska nasze cofały się dzień po dniu, a bolszewicy zbliżali się zarówno do Lwowa jak do Warszawy. Zdecydowałem, że miejsce moje jest raczej w Warszawie, bo tam jestem profesorem, niż we Lwowie, gdzie jestem na urlopie. Wyjechałem tedy ze Lwowa do Warszawy i chciałem się znowu umieścić w „Jaskółce”. Po przyjeździe na Jasną dowiedziałem się, że pensjonat został sprzedany, a jego lokal zajęty przez jakieś biura bankowe. Złożyło się, że inż. Lewicki, którego poznałem w „Jaskółce”, a który właśnie wtedy prowadził piekarnię, zajmując cały dom przy Alei Szucha, ofiarował mi jeden pokój w tym domu na mieszkanie.

Tymczasem w Warszawie robiło się coraz goręcej. Miasto było zagrożone przez bolszewików. By dać przykład młodzieży, ja i szereg moich kolegów zgłosiliśmy się na ochotników do wojska. Piłsudski kazał przyjąć nasze zgłoszenia, ale nie posłał nas na front, tylko porozmieszczał po różnych urzędach poza frontem. Ja zostałem przydzielony do tak zwanej Dwójki w Ministerstwie Spraw Wojskowych jako referent biblioteczny. Munduru nie dostałem, po cywilnemu jeździłem tramwajem codziennie do zamku i tam z braku biblioteki porządkowałem ulotki w dużej ilości rozrzucone przez bolszewików. Po „Cudzie na Wisłę” skończyła się i ta robota. Byłem już całkiem niepotrzebny.

28.5.1949 [s. 18]

Późną jesienią 1929, po szczęśliwym ukończeniu wojny z bolszewikami, rozpocząłem w Uniwersytecie Warszawskim wykłady, które miałem odtąd prowadzić aż do roku 1939, to znaczy aż do drugiej wojny światowej. Obok mnie wykładał filozofię na miejsce Tatarkiewicza, który był wtedy profesorem w Wilnie, Tadeusz

Kotarbiński, jeden z dawnych moich uczniów ze Lwowa. Ponadto wykładał psychologię dawny mój kolega ze Lwowa Władysław Witwicki, a Stanisław Leśniewski, który czuł się bardzo źle na stanowisku urzędnika ministerialnego, zdołał uzyskać katedrę filozofii matematyki. Wykładałem w tych pierwszych latach obok logiki historię filozofii nowożytnej, ale ciążyły mi te wykłady, bo już wtedy z całym zapalem zabrałem się do studiów nad logiką. Był to jeden z najlepszych okresów mojej twórczości naukowej. Wtedy to powstały pierwsze pomysły logiki trój- i wielowartościowej. Pamiętam, że i Leśniewski w tym czasie był w najlepszej swej formie, tworząc swą ontologię. Tarski był wtedy studentem i niebawem miał ogłosić swe pierwsze wyniki naukowe. Był to początek warszawskiej szkoły logiki matematycznej. Na rok akademicki 1922-23 zostałem obrany rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Za czasów mojego rektorstwa wybija się na plan pierwszy jedno smutne wspomnienie: śmierć profesora Orzęckiego. Mieszkał on w Uniwersytecie w domu tak zwanym rektorskim i schodził właśnie z mieszkania swego z drugiego piętra na dół, gdy wybuchła bomba podłożona jak się zdaje przez komunistów w celu zniszczenia znajdującego się na dole lokalu Bratniej Pomocy Studentów. Profesor Orzęcki, ciężko ranny zmarł w kilka godzin później.

18.5.1949 [s. 18a]

W roku mego rektoratu odbył się pierwszy zjazd filozoficzny we Lwowie. Na zjazd ten wybrałem się z Warszawy samolotem. Podróż samolotem były jeszcze wówczas taką nowością w Polsce, że dzienniki zamieszczały nazwiska pasażerów. Twardowski przyjął mnie bardzo uprzejmie, dawne nieporozumienia zatarły się. Zaproponowałem wówczas Twardowskiemu zamianę naszych katedr w przypuszczeniu, że wydziały zgodziłyby się na to. Ale Twardowski nie chciał opuszczać Lwowa. Marzenie moje, by wrócić do Lwowa i być tam profesorem nie spełniły się zatem. W Warszawie czułem się zawsze obco, a i wykłady w Warszawie były dla mnie ciężarem. Zebrałem sobie

wtedy trochę oszczędności w przekonaniu, że pieniądze te wystarczą mi na lat kilka, postanowiłem po ukończeniu rektoratu zrezygnować z katedry, by poświęcić się całkowicie pracy naukowej. Po złożeniu rektoratu we wrześniu 1923 byłem jeszcze do końca tegoż roku prorektorem, a od pierwszego stycznia 1923 przestałem być profesorem i stałem się człowiekiem prywatnym. Nie na długo wszakże, zostałem bowiem mianowany profesorem honorowym.

29.5.1949 [s. 19]

Wolny od zajęć obowiązkowych, rozpocząłem z początkiem roku 1924 swe studia nad logiką zdań. Studia te doprowadziły mnie do wyniku, który uważam za jeden z największych moich wynalazków, chociaż dotyczy tylko tak zewnętrznej rzeczy, jaką jest znakowanie. Wynalazłem mianowicie wówczas beznawiasową symbolikę w logice zdań. Zastosowałem później tę symbolikę do innych działów logiki, a nawet do arytmetyki, i przekonałem się, że można ją wszędzie stosować z pożytkiem. Nie została ona dotychczas powszechnie przyjęta, ale myślę, że prędzej czy później to się stanie. To był jedyny pożytek z tego, że zrezygnowałem z katedry. Pieniądze, które zaoszczędziłem sobie i z których myślałem żyć przez lat kilka, stopniały w ciągu niespełna jednego roku. Nastąpiła bowiem wtedy reforma walutowa. Bezwartościową markę zastąpiono przez złotego. Kapitalik mój był ulokowany w akcjach i w papierach wartościowych, które w chwili wprowadzenia złotego miały może wartość 20.000 złotych, a po kilku miesiącach prawie spadły do zera. Trzeba więc było obejrzeć się za jakimś zajęciem. Przez pewien czas prowadziłem wykłady z logiki dla nauczycieli szkół powszechnych w Instytucie Nauczycielskim przy ulicy Jezuickiej. Ale to nie wystarczało, by utrzymać się. W roku 1925 nadarzyła się sposobność w Uniwersytecie. Zlikwidowano wówczas Instytut Pedagogiczny i katedry istniejące w tym Instytucie przeniesiono do Uniwersytetu. Było tam kilka nieobsadzonych katedr. Jedną z nich ofiarowano mnie. Pamiętam rozmowę jaką w tej sprawie miałem z Kotarbińskim, reprezentującym Wydział Filozoficzny.

Powiedział mi, że dla mnie może być tylko katedra nadzwyczajna, bo katedrę zwyczajną trzeba zachować dla profesora Kota, którego chciano powołać do historii szkolnictwa. „Pan jest i tak kawalerem, to panu wystarczy katedra nadzwyczajna”. Odpowiedziałem na to, że nie wypada mi przyjmować katedry nadzwyczajnej, gdy byłem już raz profesorem zwyczajnym i rektorem Uniwersytetu, ale skoro jestem profesorem honorowym, więc mogę wyklądać jako profesor honorowy, a pieniądze za wykłady brać na podstawie kontraktu. Takim profesorem kontraktowym byłem aż do roku 1929, kiedy aż po moim ożenieniu się zostałem ponownie mianowany profesorem zwyczajnym. Trzeba dodać, że Kot nie przyjął ofiarowanej mu katedry w Warszawie, i nie wiadomo mi, co się stało z etatem tej katedry.

30.5.1949 [s. 20]

O ile pamiętam, jako profesor kontraktowy wyklądałem już tylko logikę matematyczną dla studentów wydziału matematyczno-przyrodniczego, który powstał przez podział wydziału filozoficznego. Z czasów tych pamiętam szczególne wypadki roku 1926. Wracalem właśnie z Uniwersytetu, gdzie miałem jakieś ćwiczenia ze studentami, do domu przy ulicy Brzozowej 12, gdy na Krakowskim Przedmieściu dowiedziałem się, że przez Plac Zamkowy nie przejdę. Tam bowiem odbywa się w tej chwili bitwa i kule gęsto padają. Od mostu Kierbedzia idą z Pragi oddziały wojskowe pod dowództwem Piłsudskiego, by zająć Warszawę. Zamach stanu i wojna domowa. Udało mi się wrócić do domu przez Wierzbową, Plac Teatralny i Długą. Po dwóch czy trzech dniach uspokoiło się wszystko. Byłem właśnie wtedy zaproszony z jakiś wykładem do Pragi Czeskiej. Nie wiem, czy pociągi już chodziły, bo nie jechałem pociągiem do Pragi, tylko samolotem. Podróż do Pragi trwała samolotem 4 godziny. Na lotnisku w Kbelly powitał mnie profesor Vorovka, którego znałem już z Warszawy. Wykład z logiki matematycznej wygłosiłem po polsku. Mówiłem powoli i starałem się dobierać wyrazów prostych, zrozumiałych dla wszystkich. Wykład podobno wszyscy zrozumieli.

Po kilku dniach wracałem do Warszawy tą samą drogą powietrzną. Linia lotnicza Praga-Warszawa była częścią linii Paryż-Bukareszt, utrzymywanej przez jakieś towarzystwo francusko-rumuńskie. Samoloty, które kursowały na tej linii, były tak małe, że mogły wziąć z sobą tylko jednego pasażera, i to naprzód pasażer musiał wsiąść do kabiny, a potem wstawiano za nim krzesło, na którym siedział. Moja podróż samolotowa z Pragi do Warszawy była urozmaicona różnymi przypadkami. W pół godziny po starcie zawróciliśmy do Pragi z powrotem, bo coś się popsło w motorze. Po powtórnym wystartowaniu i dłuższym locie wylądowaliśmy w Olomuńcu, by nabrać benzyny. Przelatując nad Jasną Górą, pilot Czech zniżył lotu i raz dokoła obleciał wieżę jasnogórską. W Warszawie nad lotniskiem poczułem jakby zawrót głowy i w pewnej chwili ujrzałem pod nogami niebo. Po wylądowaniu ktoś zbliżył się do mnie, pytając troskliwie: „Jak się pan czuje?”. Okazało się, że pilot, pełen fantazji, przed lądowaniem wywrócił koziołka w powietrzu.

31.5.1949 [s. 21]

Tegoż roku 1926, gdzieś z końcem sierpnia czy we wrześniu, dostaję telefon: „Panie profesorze, chce pan jechać do Ameryki na kongres filozoficzny do Harvard?”. Zastanowiłem się przez chwilę i odpowiedziałem, że muszę się nad tym namyślić, a o decyzji zawiadomię jutro. „Musi się pan zdecydować zaraz, bo najpóźniej jutro wieczór musi pan z Warszawy wyjechać, a trzeba nam przynajmniej dzień czasu, by wyrobić panu paszport i wizy. Więc jedzie pan czy nie jedzie?”. Jadę, odpowiedziałem. Cały dzień następny zeszedł mi na chodzeniu po różnych urzędach, ale dzięki pomocy pana Orłowskiego, urzędnika ministerstwa, otrzymałem od razu paszport dyplomatyczny z wizą amerykańską i duńską, bo miałem jechać do Ameryki okrętem duńskim jako konwojent emigrantów. Do wieczora załatwiłem wszystko, ale nie wyjechałem wieczór pociągiem pospiesznym do Berlina, by stamtąd znowu pociągiem dostać się do Kopenhagi, tylko przenocowałem spokojnie w domu. Następnego dnia rano wsiadłem

do samolotu, lecącego do Pucka, a stamtąd, korzystając z próbnych lotów, które właśnie odbywały się między Puckiem a Kopenhagą, dostałem się do Kopenhagi jeszcze przed wieczorem. Następnego dnia rano dostałem się na okręt, który w dwie godziny później odpłynął. Podróż miałem bezpłatną jako konwojent emigrantów polskich, jadących do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Obowiązki moje jako konwojenta polegały na tym, aby uważać, by emigrantom nie działa się na statku krzywda i być pośrednikiem w razie potrzeby między nimi, a kapitanem okrętu. Po skończonej podróży miałem w tej sprawie złożyć pisemne sprawozdanie. Obowiązki te nie były ciężkie, bo emigranci, chociaż jechali na dole trzecią klasą, karmieni byli dobrze, narzekali tylko, że nie mają kartofli i kapusty. Do mnie, jako do inteligenta, odnosili się nieufnie. Podróż do Ameryki trwała chyba ze dni dziesięć, bo lądowaliśmy po drodze dwa razy. Raz w Oslo, stolicy Norwegii, a drugi raz w Halifax, już po drugiej stronie oceanu. Podróż zakończyła się w porcie nowojorskim Hoboken. Natychmiast po opuszczeniu statku wsiadłem do ekspresu idącego do Bostonu gdzie znalazłem się po sześciu godzinach jazdy. Z Bostonu koleją podziemną dostałem się do Cambridge, siedziby słynnego uniwersytetu Harvard. Na miejscu przekonałem się, że przybyłem na kongres o trzy dni za późno. Nie zgłaszałem na kongres referatu i brałem tylko udział w dyskusjach. Lewis, który interesował mnie jako logik matematyczny, w kongresie nie brał udziału, chociaż był na miejscu jako profesor w Harvard. Widziałem się z nim tylko krótką chwilę. Z drugim z tamtejszych logiczków, Shefferem, który także trzymał się z dala, zjadłem lunch w kawiarni.

1.6.1949 [s. 22]

Promocja moja na doktora filozofii odbyła się w Uniwersytecie Lwowskim dnia 15 listopada 1902. Była to promocja uroczysta sub auspiciis imperatoris, to znaczy pod szczególnym protektoratem cesarskim. Tę uroczystą formę promocji przyznawano kandydatom, którzy wszystkie szkoły i egzaminy od najniższych do najwyższych

ukończyli z postępem celującym. Ja należałem właśnie do takich kandydatów i otrzymałem to odznaczenie. Czekałem na nie rok przeszło. Przychylna odpowiedź na podanie nadeszła jeszcze w czerwcu i Ojciec mój mógł ją jeszcze przeczytać na swym łożu śmiertelnym. Z powodu śmieci Ojca promocję odłożyłem do jesieni i prosiłem o wyznaczenie jej na dzień imienin Matki mojej Leopoldyny, to jest na dzień 15 listopada. W promocji sub auspiciis brał udział namiestnik, który imieniem cesarza wręczał kandydatowi pierścień z brylantami. Namiestnikiem Galicji był wówczas były profesor prawa rzymskiego w Uniwersytecie Lwowskim Leon Piniński. W mundurze galowym namiestnika przyjechał do Uniwersytetu, powitany uroczyście przez rektora i senat. Rektorem był wówczas Władysław Ochenkowski, profesor ekonomii społecznej na wydziale prawa, poprzednio profesor Uniwersytetu w Münster w Westfalii. Dziekanem wydziału filozoficznego był profesor historii sztuki Jan Bołcz Antoniewicz, Ormianin z pochodzenia. Promotorem był mój profesor Kazimierz Twardowski. Gdy wszyscy zajęli swe miejsca w auli, przemówił pierwszy rektor Ochenkowski, witając namiestnika i dawnego kolegę. Następnie piękne przemówienie pod moim adresem wypowiedział dziekan Antoniewicz. Przemówienie to dnia następnego zostało w całości wydrukowane w Gazecie Lwowskiej. Po Antoniewiczu przemawiał Twardowski i odczytał formułę ślubowania doktorskiego, po czym wręczył mi dyplom w blaszanej tubie. Wreszcie przemówił namiestnik i wręczył mi pierścień cesarski z brylantami. Na czerwonym krwawniku widniała korona cesarska a pod nią inicjały cesarskie F. J. I, to znaczy Franciszek Józef pierwszy. Korona z inicjałami otoczona była dokoła 14-stoma brylantami, osadzonymi w platynie. Okrąg pierścienia był ze złota, po bokach dwa orły austriackie. Ja sam przemówiłem na końcu, dziękując naprzód Rodzicom swoim i Wujowi Matki za troskliwą opiekę i wychowanie, następnie Uniwersytetowi i profesorowi Twardowskiemu za wykształcenie w filozofii, cesarzowi za pierścień, a namiestnikowi za obecność na promocji. Namiestnik Piniński po ustąpieniu z urzędu został ponownie profesorem, a za



czasów polskich był rektorem Uniwersytetu Lwowskiego. Umarł jako członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności w tym samym roku 1938, co Twardowski.

2.6.1949 [s. 23]

Z Ministerstwem Oświaty połączony był Departament Wyznań Religijnych, tak że mój pełny tytuł urzędowy brzmiał: Minister Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych. Na czele Departamentu Wyznań Religijnych stał mój starszy kolega ze Lwowa profesor Bronisław Dembiński, który był zarazem wiceministrem. Podwładnym jego, a więc i moim, był naczelnik wydziału katolickiego ks. Szelażek, późniejszy biskup łucki, a podówczas biskup sufragan płocki czy włocławski. Zbliżała się Wielkanoc. Chciałem kilka dni świąt spędzić w odpoczynku i skupieniu. Zdawało mi się, że znajdę odpoczynek dla umysłu i skupienie duchowe w tym najcudowniejszym w Polsce miejscu, jakim jest Jasna Góra. Zapytałem więc ks. biskupa, czy OO. Paulini zachcieliby mnie przyjąć przez święta jako gościa w Klasztorze. Ponieważ odpowiedź wypadła przychylnie, przeto w wielki piątek czy w wielką sobotę wybrałem się do Częstochowy, otrzymując od Zarządu kolejowego osobny wagon salonowy. OO. Paulini umieścili mnie w pokojach wewnątrz klasztoru przeznaczonych dla biskupów zwiedzających klasztor. Pamiętam, że był tam stary portret z XVII wieku ks. Kordeckiego, który obronił Jasną Górę od Szwedów. Meble w tym pokoju musiały chyba także pamiętać wojnę szwedzką, wszystko było jakieś starodawne, jakby czas stanął w tym miejscu. Nawet polewka winna, przyprawiona obficie korzenia, którą podali mi na śniadanie, musiała być zrobiona według dawnych przepisów kucharskich. Skupienia duchowego, którego szukałem, nie znalazłem, bo w czasie świąt klasztor i kościół był natłoczony ludźmi. W dzień wielkanocny nabożeństwo odprawiał biskup, który miał tron po prawej stronie ołtarza. Dla mnie po lewej stronie ołtarza postawiono podobny fotel naprzeciw tronu biskupiego i postawiono braciszka, który mi podpowiadał co mam w każdej chwili robić, bo byłem na

widoku całego kościoła. Po nabożeństwie udaliśmy się do refektarza na obiad. Naprzód braciszkanie, potem Ojcowie, wreszcie na końcu ja z biskupem. Najmilsze chwile spędziłem chodząc samotnie po wałach klasztoru i odtwarzając sobie w pamięci sceny z *Potopu*. W klasztorze zwiedzałem różne osobliwości. Między innymi w bibliotece, która zawierała z pewnością wiele rzadkich zabytków, widziałem stoły zrobione z desek tak dużych, że przez żadne drzwi nie mogłyby się przedostać. Widziałem też starą drukarnię klasztoru. W kącie leżały arkusze jakiejś książki, której druk przerwano jeszcze 200 lat temu.

03.06.1949 [s. 24]

Kongres filozoficzny w Cambridge był pierwszym kongresem międzynarodowym, na którym byłem obecny. Dwa lata później, to jest w roku 1928, wziąłem udział w międzynarodowym kongresie matematycznym w Bolonii. W kongresie tym wzięli udział z Warszawy między innymi Przeborski i Tarski, oraz Chwistek z Krakowa. Z Warszawy do Wiednia udałem się samolotem. Gdy w Wiedniu na dworcu południowym wsiadałem do pociągu pospiesznego idącego do Włoch, świeży po przespanej nocy, i nie zmęczony niedługą podróżą w samolocie, zastałem w pociągu towarzyszy z Warszawy, zaspanych i wyczerpanych całonocną podróżą koleją z Warszawy do Wiednia. Był to wrzesień i w Bolonii panowały upały. Razem Przeborskim ulokowani zostaliśmy w dwóch pokojach prywatnie. W moim pokoju okiennice były stale spuszczone z powodu gorąca. Wypijaliśmy dużo wina włoskiego i wermutu z lodu. Miałem jeden referat z logiki matematycznej, drugi także referat miał Tarski. Wieczorem po referatach zbieraliśmy się w kawiarni. Zabawną było rzeczą wiedzieć duży stół, przy którym siedzieli profesor matematyki z uniwersytetu w Lipsku z żoną, profesor matematyki w Lille, docent matematyki z Amsterdamu, Chwistek z Krakowa, Tarski z Warszawy i wszyscy mówili z sobą po polsku. W wolnych chwilach zwiedzaliśmy stare kościoły bolońskie i stare sale uniwersyteckie, w których, jak głosiły napisy, już przez wielu wiekami studiowali Polacy. Na zakończenie

kongresu zrobiliśmy wycieczkę do Florencji, by obejrzyć tam bezcenne skarby sztuki. Jeszcze przedtem złożyliśmy w Rawennie na grobie największego poety włoskiego Dantego. Na trzecim z kolei międzynarodowym koreksie naukowym byłem obecny wraz żoną. Był to kongres filozoficzny w Pradze Czeskiej w roku 1934. Bezpośrednio przed kongresem odbył się zjazd przedstawicieli tak zwanego Koła Wiedeńskiego, w którym wzięli udział i Polacy, między innymi Ajdukiewicz i ja. Referat z historii logiki zdań<sup>2</sup>, który wygłosiłem na tym zjeździe, pojawił się w druku po niemiecku w czasopiśmie „Erkenntnis”, a po polsku w „Przeglądzie Filozoficznym”. O tym to referacie napisał profesor Scholz: „Najpiękniejszych 20 stronic z historii logiki”. Referat mój, wygłoszony na głównym kongresie<sup>3</sup>, miał bez porównania mniejsze znaczenie. Na kongresie tym spotkaliśmy się po raz pierwszy z Ojcem Bocheńskim, z którym później miały nas łączyć bliższe stosunki.

4.6.1949 [s. 25]

Na kongresie praskim było dużo Polaków, ale ponieważ stosunki polityczne między Polską a Czechosłowacją były naprężone, nikt z Polaków nie przemawiał na uroczystości otwarcia kongresu. Dowodem tego napięcia była także rozmowa, jaką miałem z Beneszem, ówczesnym czechosłowackim ministrem spraw zagranicznych. Jak inni uczestnicy kongresu, tak i my, to jest ja z żoną, byliśmy zaproszeni na przyjęcie w pałacu Czernina, gdzie mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Rozmawialiśmy z gospodarzami naszymi, to jest panem Beneszem i jego żoną, mówiąc po polsku, gdy oni mówili po czesku. W pewnej chwili powiedziałem: „Jak to ładnie, panie ministrze, my mówimy po polsku, a państwo po czesku, i porozumiewamy się doskonale”. „Ale w polityce nie porozumiemy

---

<sup>2</sup> Patrz: J. Łukasiewicz, *Z historii logiki zdań*, w: idem, *Z zagadnień logiki i filozofii*, Warszawa 1961, s. 178-194.

<sup>3</sup> Patrz: J. Łukasiewicz, *Znaczenie analizy logicznej dla poznania*, w: idem, *Logika i metafizyka*, Warszawa 1998, s. 60-67.

się nigdy”, odpowiedział Benesz. Praga należy do najpiękniejszych miast środkowej Europy. Stare mosty przerzucone przez Wełtawę, prowadzą z Pragi na Małą Stronę (Mala Strana), gdzie mieszczą się dawne pałace arystokracji czeskiej wraz z zamkiem królewskim na Hradczanach i katedrą św. Wita. Byliśmy w tym zamku na raucie, wydanym przez córkę prezydenta Masaryka, który sam był ciężko chory i wnet zmarł. Żona moja dobrze pamięta to przyjęcie, bo zgubiła na nim złotą bransoletkę, która była starą pamiątką rodzinną. Na raucie doszedł do mojej żony profesor Reichenbach, który po objęciu władzy przez Hitlera musiał uchodzić z Berlina i był wówczas profesorem w Konstantynopolu, a na kongresie reprezentował Turcję. Reichenbach był widocznie pod wrażeniem moich wykładów, bo pytał się żony mojej jak ja doszedłem do tych pięknych wyników. Obecnie Reichenbach jest profesorem w Kalifornii i wydał niedawno podręcznik logiki matematycznej. Po kongresie pojechaliśmy z żoną do Wiednia gdzie złożyliśmy wizytę profesorowi Schlickowi, którego poznaliśmy na kongresie w Pradze. Żonaty był z Amerykanką, która była starszą osobą i nie prowadziła życia towarzyskiego. Byliśmy z żoną u nich na podwieczorku. W kilka lat później otworzyłem przypadkowo radio w Warszawie i usłyszałem, że Schlick został zastrzelony przez jakiegoś studenta w gmachu uniwersytetu wiedeńskiego. Był to jeden z najwybitniejszych przedstawicieli Koła Wiedeńskiego. Po jego śmierci Koło się rozproszyło.

5.6.1949 [s. 26]

Ostatni międzynarodowy kongres naukowy przed drugą wojną światową, na którym ja i żona moja, byliśmy obecni, odbył się w grudniu 1938 w Zurychu. Był to kongres specjalny, za zaproszeniami osobistymi poświęcony podstawom matematyki. Kongres urządził komitet współpracy intelektualnej przy Lidze Narodów w Genewie. Duszą kongresu był profesor politechniki federalnej w Zurychu Gonseth. Z Polski byli zaproszeni do wygłoszenia odczytów Sierpiński i ja, nadto jako gość bez odczytu Stefan Mazurkiewicz.

Z innych krajów zaproszeni byli matematycy Lebesgue i Frechet z Paryża, logicy Jørgensen z Kopenhagi, Skolem z Oslo i Feys z Lozanium, wreszcie filozof Barzin z Brukseli. Na miejscu w Zurychu oprócz Gonsetha byli Bernays i Dürr oraz wszyscy tamtejsi profesorowie matematyki. Mój wykład pod tytułem *Logika a zagadnienie podstaw*<sup>4</sup> miał na celu zapoznać zebranych z wynikami moimi i moich uczniów na polu wielowartościowych systemów logiki zdań. W dyskusji okazało się, że tak zwane modalne logiki wielowartościowe nie nadają się do matematyki, bo nie ma w matematyce zdań modalnych. Fakt ten skłonił mnie później do utworzenia niemodalnych systemów wielowartościowych, które w czasie drugiej wojny światowej i po tej wonie udało mi się zastosować do arytmetyki liczb naturalnych. Natychmiast po kongresie wróciliśmy do domu, bo spodziewaliśmy się, że z okazji sześćdziesiątej rocznicy moich urodzin przypadającej na dzień 21 grudnia, przyjedzie do Warszawy profesor Scholz z Münster. Mówiono przy tym, że ma przywieźć dla mnie jakieś odznaczenie. Istotnie w kilka dni po naszym powrocie z Zurychu zjawili się w naszym mieszkaniu na Sewerynowie profesor Scholz w towarzystwie dziekana wydziału przyrodniczego w Münster profesora Kratzera. Przywieźli z sobą dyplom doktora filozofii honoris causa Uniwersytetu w Münster i.W. Dyplom ten został mi wręczony w przeddzień moich urodzin w ambasadzie niemieckiej. Ambasador Moltke, z którym byliśmy w przyjaznych stosunkach, wydał śniadanie, na którym obecnych było wielu moich kolegów z Uniwersytetu, między innymi rektor W. Antoniewicz, profesor Zieliński, Pieńkowski, Mazurkiewicz, Krokiewicz, Leśniewski, Białobrzeski i inni, obecny był także dyrektor funduszu naukowego Stanisław Michalski. Jediną panią w tym zebraniu panów była moja żona, gdyż pani Moltkowa już była wyjechała z dziećmi na święta. Profesor Scholz wygłosił piękne przemówienie, w którym zaznaczył, ile szkoła logiczna w Münster zawdzięcza Warszawie. W odpowiedzi na to podniosłem zasługi

---

<sup>4</sup> J. Łukasiewicz, *Logika i problem podstaw matematyki*, w: idem, *Logika i metafizyka*, op. cit., s.70-85

Leśniewskiego, który w tym samym przynajmniej stopniu co ja, przyczynił się do powstania warszawskiej szkoły logicznej.

[Pod datą 6.6.1949 Łukasiewicz wspomina majątek w Truskawcu, który należał do jego pradiada.]

7.6.1949 [s. 28]

Członkiem Polskiej Akademii Umiejętności zostałem bardzo późno, bo dopiero w czerwcu roku 1937, ale za to zostałem od razu członkiem czynnym. Postarał się o to ks. Konstanty Michalski, który wiedział, że prace moje nie tylko z logiki matematycznej, ale i historii logiki, zyskały sobie duże uznanie za granicą. Że godność członka Akademii przypadła mi w udziale tak późno, powodem tego był, jak mi mówiono, krakowski profesor filozofii oraz Członek Akademii Heinrich. Naraziłem go sobie niechcący jeszcze w roku 1909, gdy przedstawiałem w Akademii swą pracę *O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa*. Gdy w dyskusji Heinrich zrobił jakąś uwagę krytyczną, zapytałem się go, czy on czytał Arystotelesa w oryginale. Nie przyszło mi nawet do głowy pomyśleć, że Heinrich nie umie po grecku. Oczywiście Heinrich zapytanie moje wziął za złośliwość i był odtąd stale moim nieubłaganym wrogiem. Ja w zamian opowiadałem niekiedy historię o Heinrichu, której dowiedziałem się od Sinki, gdy jeszcze był profesorem filologii klasycznej we Lwowie. Heinrich nie umiając po grecku wydawał jakiś podręcznik historii filozofii greckiej i zwrócił się do Sinki z prośbą o przejrzenie korekty. Sinko opowiadał, że włosy stanęły mu na głowie, gdy zobaczył, że wszędzie zamiast pisać „Simplicius”, był to słynny komentator Arystotelesa, Heinrich pisze „Simplicissimus”. Simplicissimus był to tytuł bardzo znanego tygodnika humorystycznego wychodzącego w Monachium. W każdej kawiarni lwowskiej i krakowskiej czytało się to doskonale pismo ze świetnymi karykaturami. Heinrichowi bliższy był kawiarniany humorystyczny Simplicissimus, niż starożytny poważny Simplicius. Ponieważ część arkuszy była już wydrukowana, nie można było

poprawek przeprowadzić wszędzie i w wydrukowanej książce na początkowych kartkach widnieje *Simplicissimus* ku wiecznej rzeczy pamiętce. Widać z tego, że w owych czasach poziom naukowy Akademii nie był zbyt wysoki. Jak zresztą często bywa, towarzystwa takie opanowane są przez przeciętnych ludzi, którzy z zawiścią spoglądają na wszystko, co wyrasta ponad poziom. Jeden z najgenialniejszych umysłów, jakie Polska wydała, Stanisław Leśniewski, nie był nigdy nawet członkiem korespondentem Akademii.

7.6.1949 [s. 29]

Wiadomość, że zostałem wybrany członkiem Akademii otrzymałem w dniu, w którym odbyło się w Warszawie najwspanialsze przyjęcie za czasów Polski Piłsudskiego. Przyjęcie to odbyło się w ambasadzie francuskiej na Frascati, a było urządzone dla upamiętnienia otwarcia ambasady w nowym gmachu. Ambasadorem francuskim w Warszawie był wtedy Noel, którego żona moja nazywała „chłopkiem-roztropkiem”. Wyglądał w istocie na pochodzącego z ludu, ale pod zewnętrzną nieciosaną powłoką kryła się bystra inteligencja. Rozrzutność, z jaką Noel wystąpił przy otwarciu ambasady była niesłychana i niepojęta. Noel sprowadził z Paryża teatr na ten dzień, tarasy pałacu pokryte były pękami ciętych czerwonych róż, a w bufecie nie można była stąpać, gdyż podłoga była zasłana korkami z butelek od szampana. Na przyjęcie zjawiała się cała Warszawa: Prezydent R.P, ministrowie, dyplomacja, generałowie, przedstawiciele nauki, literatury i sztuki. Po przedstawieniu teatralnym i po wspaniałym posiłku zaczęły się tańce, które trwały do rana.

W niespełna rok później, bo w marcu 1938, spotkaliśmy się z ambasadorem Noelem w innych warunkach. Zapowiedziany był koncert Małcużyńskiego w Instytucie Francuskim, mieszczącym się w pałacu Staszica. Tego samego dnia popołudniu byliśmy na przyjęciu w poselstwie węgierskim. Poseł węgierski Hory zapraszał nas na wszystkie przyjęcia, bo miałem węgierski krzyż zasługi z gwiazdą, odznaczenie, które mi sam wręczył. Piliśmy Tokaj i słuchaliśmy

muzyki cygańskiej, Wróciwszy do domu przed wieczornym koncertem, otworzyłem radio i słyszę nagle z Berlina, że jedzie tam prezydent czeski Hacha by oddać państwo i naród czeski pod opiekę Hitlera. Wstrząśnięci tą wiadomością udajemy się do pałacu Staszica i w kilku słowach powiadamy obecnych, co się stało. Za chwilę i z ambasady francuskiej nadeszły wiadomości. Noel wstał nagle i jeszcze przed rozpoczęciem koncertu opuścił salę.

8.6.1949 [s. 30-31]

Ożeniłem się w roku 1929, na jakie dwa miesiące przed powtórna nominacją na profesora zwyczajnego. Żona moja, Regina z Barwińskich, była o dwadzieścia pięć lat młodsza ode mnie, tak, że w chwili ślubu byłem od niej dwa razy starszy. Nie miała w Warszawie żadnej bliższej rodziny prócz dwóch bratanków, z których jeden, Edward Barwiński, był dyplomowanym inżynierem chemikiem, a drugi, Wacław Barwiński, kończył dentystrykę. On też był świadkiem naszego ślubu ze strony żony mojej, moim zaś świadkiem był Stanisław Leśniewski. Zamieszkaliśmy w domu profesorskim przy ulicy Brzozowej 12 w tym samym mieszkaniu, które poprzednio zajmowałem jako kawaler. Dopiero po roku dostaliśmy w tym samym domu profesorskim mieszkanie obszerniejsze, złożone z trzech pokoi, hallu, łazienki i kuchni. Okazało się później, że zrobiliśmy błąd, mieszkając w domu, w którym się wszyscy znali i interesowali się sobą. Żona moja była ładna i młoda, znacznie młodsza od innych profesorowych, mieszkających w domu, a nadto miała dobry gust i zawsze była dobrze ubrana. Toalety swe zamawiała u pierwszorzędnym krawców, jakim był np. Myszkorowski. To wszystko było niewątpliwie przedmiotem licznych komentarzy i wzbudzało zawiść. I mnie także nie brakło osobistych wrogów. W owym czasie wprawdzie nie podejrzewałem nikogo o wrogię ku sobie usposobienie i dopiero znacznie później uświadomiłem sobie, że miałem wroga albo przynajmniej niechętnego sobie w Tadeuszu Kotarbińskim. I w stosunku do mnie zawiść odgrywała dużą rolę. Zostałem



bowiem wybrany po raz wtóry rektorem Uniwersytetu na rok akademicki 1931-1932, zrobiono mnie także prezesem kooperatywy mieszkaniowej, do której należał dom, w którym mieszkaliśmy. Zawiesz budziły zapewne także moje rezultaty naukowe, dzięki którym stałem się znany za granicą. Niemalą także rolę, jak to dzisiaj widzę, odgrywały różnice polityczne, które uwydatniły się zwłaszcza po moim ożenieniu się. Żona moja bowiem była wierzącą katoliczką i nie lubiła Żydów, których miała sposobność poznać ze złej strony. Była zatem nastawiona pravicowo. Wśród mieszkańców domu przy Brzozowej 12 panował natomiast nastrój lewicowy. Kotarbiński np. nie tylko był lewicowym doktrynerem od czasu lat szkolnych (była to spuścizna po płytkim pozytywizmie warszawskim z lat osiemdziesiątych wieku XIX) i nie tylko pisywał wątpliwej wartości artykuły przeciw religii i Kościołowi, ale nawet wystąpił oficjalnie z Kościoła rzymsko-katolickiego, a Żydów zdawał się bardziej kochać niż Polaków. Nie mieszkał wprawdzie w naszym domu żaden Żyd profesor, ale żona Witwickiego była z pochodzenia Żydówką i cieszyła się specjalną sympatią Kotarbińskiego. Witwicka, z domu Dubieńska, była drugą żoną Witwickiego, który rozwiódł się ze swą pierwszą żoną, by poślubić drugą. Przyczynił się do tego niewątpliwie i sam Twardowski, który żył w przyjaźni z rodziną Dubieńskich. Żona jako katoliczka nie uznawała rozwodów, co było znowu źródłem niechęci nie tylko między żoną moją a panią Witwicką, ale i między żoną moją a panią Radlińską, która także była drugą żoną chirurga Radlińskiego, podobnego z poglądów swoich do Kotarbińskiego. Chcąc, jak przypuszczam, przede wszystkim mnie dokuczyć, przeciwnicy moi zaczęli dokuczać mojej żonie. Były to drobne sprawy domowe, jak zatargi o pralnię, o górę do wieszania bielizny, odmawianie służących, wreszcie namawianie własnej służby, by dokuczała mojej żonie lub naszej służącej. Główną w tym rolę odgrywała Witwicka. To wszystko sprawiło, że mieszkanie na Brzozowej obrzydło nam i skorzystaliśmy ze sposobności przeniesienia się do nowego domu profesorskiego na Sewerynowie.

11.6.1949 [s. 32-33]

Mieszkanie na Sewerynowie było najwspanialsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek posiadaliśmy. Składało się z pięciu pokoiów, hallu, kuchni, łazienki i pokoju dla służby. Było całkiem nowe i miało zwłaszcza piękną posadzkę, którą żona moja starała się utrzymać w najpiękniejszej formie. Wśród naszych mebli było kilka sztuk piękniejszych, zachowanych jako pamiątki rodzinne, jak stary stół orzechowy w salonie, stara komoda i moja szafeczka z lat dziecińczych, dar pułkownika Rudzińskiego, oraz piękna szafa orzechowa do ubrań. Poza tym mieliśmy nowocześnie umeblowany stołowy pokój z meblami orzechowymi. Gabinet mój zawierał duże biurko mahoniowe, fotele mahoniowe, obite rypsem koloru malinowego i mahoniowe półki na książki zasłaniające całą ścianę. Obrazów mieliśmy niewiele, wśród nich wyróżniały się nasze portrety, rysowane kredkami przez Stanisława Ignacego Witkiewicza zwanego Witkacym. Z Witkacym utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie, bo był to nie tylko malarz, ale literat i filozof. Witkacy nie lubił logiki matematycznej, bo przypominała mu Chwistka, z którym znał się od lat dziecińczych w Zakopanym i kłócił się ustawicznie. Ojciec Chwistka, lekarz, miał zakład wodoleczniczy w Zakopanym, a ojciec Witkacego, znany krytyk literacki miał w Zakopanym willę i mieszkał tam stale. Chociaż Witkacy pisał na swoich obrazach „N.p. i Nπ” to znaczy „nie pali i nie pije”, to jednak gdy przyszedł raz do nas, od razu zażądał koniaku i pił go nie kieliszkiem, lecz szklanką. „Gdzie można dostać herbaty w czystej filizance”, pytał Witkacy, „tylko u państwa Łukasiewiczów”. Gdy bolszewicy szli na Polskę we wrześniu 1939 roku, Witkacy poderznął sobie żyły na Polesiu. Poza portretami Witkacego mieliśmy jeszcze mój portret olejny z czasów studenckich malowany przez Witwickiego. Władysław Witwicki był wszechstronnie uzdolniony: w szkołach średnich był profesorem przyrody, poza tym był to psycholog, filozof, tłumacz Platona, wreszcie rysował, malował i rzeźbił. Jednej jednak zdolności był całkowicie pozbawiony: mianowicie zdolności do matematyki i symbolicznego myślenia.

Gdy zdając we Lwowie egzamin nauczycielski z przyrody miał opracować także temat z matematyki zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Jako temat otrzymał od Puzyny, profesora matematyki, równania trzeciego i czwartego stopnia. Napisałem dla niego wypracowanie na ten temat a on w zamian za to namalował mi portret.

Portret malowany przez Witwickiego wisiał w moim gabinecie, w którym wisiał także portret olejny mojej żony, malowany przez jednego z przyjaciół rzeźbiarza Karnego. Wisiał tam także oryginalny drzeworyt japoński, przysłany przez Japończyka Hirano, który był w Warszawie i chodził na moje seminarium. W salonie obok portretów rysowanych przez Witkacego, wisiał jeszcze niewielki obrazek Rychter-Janowskiej przedstawiający wiejski dworek szlachecki. Z obrazkiem tym łączy się dziwna historia. Pewnego roku, 1937 czy 1938, otrzymałem list z Krakowa podpisany przez panią Detlof, o której nigdy nic nie słyszałem, a która w liście, przyznając się do pokrewieństwa ze mną, wieszowała mi jakiegoś odznaczenia. Nie słyszałem nigdy o krewnych tego nazwiska, ale pani Detlof w liście swym wymieniła imię mojego dziadka Waleriana Holtzera, który zmarł w 1877, wspominając, że znała jeszcze matkę moją jako pannę. Będąc w Krakowie odwiedziłem staruszkę. Mieszkała na przedmieściu razem z jakąś swoją krewną w dużym domu z ogrodem. W salonie było dużo dzieł sztuki, jakby w muzeum. W rozmowie okazało się, że była ona spokrewniona z rodziną Holtzerów, chociaż według mnie moją krewną nie była. Mimo to powiedziała „Jasiu, mów mi ciociu”. Powiedziała, że jest już bardzo stara i że widzimy się po raz pierwszy i ostatni. I to się sprawdziło. Przesyłając żonie mojej list i obraz, o którym była mowa, potknęła się wracając z urzędu pocztowego, złamała nogę i wkrótce potem umarła.

12.6.1949 [s. 34]

Najwspanialsze przyjęcie, jakie widziały mury naszego mieszkania na Sewerynowie, odbyło się w sześćdziesiątą rocznicę moich urodzin, dnia 21 grudnia 1938. Profesorowie Scholz i Kratzer, którzy przywieźli

mi dyplom doktorski z Münster, mieszkali u nas. Dla nich to i dla ambasadora Moltkego wydaliśmy to przyjęcie. Zaprosiliśmy tylko panów, zabłąkała się jedna pani, żona Węgra Diveky'ego, docenta historii Węgier w Uniwersytecie, z domu hrabianka jakaś o niemieckim nazwisku. Zaproszeni byli przede wszystkim profesorowie, wśród nich był Leśniewski i Tarski. Kostanecki przyszedł ze swym zięciem Ernstem. Poza tym z profesorów byli ci, którzy dzień przed tym byli na przyjęciu w ambasadzie niemieckiej. Spoza profesorów przybyli do nas o ile pamiętam, Witkacy, Karny i Wittig. Podawano czarną kawę i herbatę, lało się wino i wódka. Były ciastka i torty, a jeden z tortów miał 60 świec. Karny pomagał go ubierać świecami. Scholz i Kratzer pozostali u nas przez jeszcze dwa dni po tym przyjęciu. Kratzer siedział w salonie przy radiu i nie mógł oczu oderwać od błyszczącej posadzki. Scholz wolał chodzić po mieście w towarzystwie mej żony. Było strasznie zimno i żona kupiła mu rękawiczki i szalik. W wędrówkach po Warszawie żona zaprowadziła Scholza do najstarszego kościoła Maryi Panny na Nowym Mieście w Warszawie. Był już mrok, śniegu było pełno, w kościele było kilka modlących się osób. Ksiądz rozpoczął nieszpór, żona uklękała i z całego serca dziękowała Panu Bogu za dobro, które nam zsyłał. Chwila musiała być szczególnie wzruszająca, bo z wielką siłą podzielała na Scholza. Klęczał także, choć ewangelik, i modlił się. Gdy żona moja opowiadała mi po polsku o tej chwili Scholz zrozumiał i powiedział, że to pani Regina na mnie [Scholza] tak oddziaływała. Dziś jeszcze, po dziesięciu latach Scholz wspomina w swych listach tę niezwykłą chwilę.

14.6.1949 [s. 35]

We Lwowie była ulica, która nazywała się Chorążczyzną. Tam na Chorążczyźnie, na pierwszym piętrze czynszowej kamienicy mieściła się z końcem XIX wieku „Czytelnia akademicka”. Wchodziło się po drewnianych schodach na górę, naprzód była nieduża szatnia, gdzie siedział woźny i sprzedawał ciastka, potem była dość duża sala, na środku stół, na nim gazety i czasopisma, w kacie na podwyższeniu

fortepian. Z sali tej wchodziło się do pokoju bilardowego, a stamtąd do trzeciego pokoju, w którym odbywały się posiedzenia zarządu i kółek naukowych. W czasie roku akademickiego odbywały się tam każdego piątku posiedzenia Kółka Filozoficznego. Na posiedzenia, które zaczynały się o ósmej wieczór, przychodził stale Twardowski. Ubrany był zawsze jednakowo. Nosił długi czarny surdut z podwójnym rzędem guzików, tak zwany „szlusrok”, stojący sztywny kołnierzyk z czarną krawatką, zakrywającą koszulę. Nosił filcowy kapelusz z dużymi kryzami i płaszcz dwurzędowy z dragonem. Na tle czarnego surduta i czarnej krawatki odbijała się tym jaskrawiej ruda broda profesora. Mówiono sobie w czytelni, że Twardowski ma wygląd oficera pruskiego. W samej rzeczy był sztywny, małowówny i rzadko kiedy się uśmiechał. Posiedzenie Kółka Filozoficznego zaczynało się od referatu jakiego studenta, poczym następowała dyskusja. Wszyscy czekali, co powie Twardowski. Wierzyli, że on potrafi rozwiązać każde zagadnienie. A zagadnień było niemało. Czy człowiek ma duszę, czy zawsze postępuje egoistycznie, czy po stylu utworu pisanego można poznać, czy był pisany przez kobietę czy przez mężczyznę itd. Przewodniczącym kółka, gdy zacząłem chodzić na jego posiedzenia w roku 1897, był zdaje się Tadeusz Sobolewski, po nim przewodnictwo objął Władysław Witwicki, a ja byłem sekretarzem. Wreszcie po Witwickim objąłem przewodnictwo ja. Kółko Filozoficzne było doskonałą szkołą myślenia i wywierało duży wpływ na młodzież. Dzięki kółku przeniosłem się z prawa na filozofię i zostałem uczniem Twardowskiego.

[Dalej pod datami 14 i 15.6.1949 (s. 36-37) Łukasiewicz opisuje Lwów za swoich czasów gimnazjalnych oraz wylicza swych nauczycieli.]

16.6.1949 [s. 38]

Gimnazjum dało mi podstawy wykształcenia ogólnego, ale nie wytworzyło zamiłowania w żadnym specjalnym kierunku. Po maturze,

którą zdałem z najwyższym odznaczeniem, nie wiedziałem co robić. Wydawało mi się, że mam pewne zamiłowania do matematyki, te musiały być bardzo słabe, skoro opinia rodziny i kolegów skłoniła mnie z łatwością, by zrobić to, co prawie wszyscy młodzi ludzie w mojej sytuacji robili: pójść na prawo i zostać urzędnikiem państwowym. W jesieni 1897 zapisałem się na wydział prawa, a dzięki stosunkom otrzymałem od razu tak zwane diurnum w Krajowej Dyrekcji Skarbu. Na czele tego urzędu stał wówczas Witold Mora Korytowski, poznańczyk, późniejszy austriacki minister Skarbu i namiestnik Galicji. Dostałem się do biura radcy, Walerego Olszewskiego, któremu powierzono zadanie wprowadzenie w życie w Galicji nowej ustawy o podatku bezpośrednim. Pomagałem radcy w tej pracy, czując się bardzo dumnym, że mogę wytykać podwładnym urzędom, którymi były Starostwa, różne niedokładności i braki. Bawiło mnie to czas jakiś. Ale gdy pomyślałem sobie, że mam całe życie spędzić w nieprzytulnych murach urzędu (Krajowa Dyrekcja Skarbu mieściła się w rozpaczliwie długim i jednostajnym budynku na Wałach Hetmańskich) nie mogąc wyjechać w przecudne góry delatyńskie, gdzie spędziłem wakacje po maturze, to odechciało mi się kariery urzędniczej i postanowiłem pójść inną drogą. Chodziłem już wówczas do Czytelni akademickiej na posiedzenia Kółka Filozoficznego i poznałem tam profesora Twardowskiego. Podziwiałem zdolność jego rozwiązywania każdej trudności i zachciało mi się stać się takim samym, jak on. Pójdę na filozofię, myślałem, będę tak mądry, jak Twardowski, a co roku będę miał w lecie wakacje i będę mógł pojechać w góry. Tak więc z początkiem letniego semestru 1897/98 pożegnałem się z radcą Olszewskim i ze studiami prawniczymi i przenieśliem się na filozofię, obierając sobie filozofię jako przedmiot główny, a matematykę jako przedmiot poboczny. Jeszcze przed przeniesieniem się złożyłem Twardowskiemu wizytę w jego domu, prosząc o radę, od czego mam studia swe zacząć. Twardowski polecił mi wtedy szkolny podręcznik niemiecki logiki, napisany przez Meinonga i Höflera<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup> A. Meinong, A. Höfler, *Logik*, Wiedeń 1890.

16.6.1949 [s. 39]

Żonę swoją ujrzałem po raz pierwszy po powrocie z Ameryki. Miałem już wtedy 48 lat, a ona była młodziutką dziewczyną, pełną naiwnego wdzięku. Podobała mi się od razu. Nie myślałem jednak wówczas o żenieniu się. Miałem dotychczas niejedną sposobność, by się ożenić, ale nie mogłem się nigdy na to zdecydować, Dlaczego tak było, to trudno powiedzieć. Zdaje mi się jednak, że działały tu głównie dwie przyczyny: obawiałem się, że małżeństwo mogłoby zaszkodzić mojej pracy naukowej, którą uważałem zawsze za główny cel swego życia. To była przyczyna pierwsza, leżąca po mojej stronie. Druga przyczyna leżała, jak sądzę, po stronie tych kobiet, które mogły być kandydatkami na moją żonę. Żadna z nich nie miała widocznie ani dość uczucia dla mnie, ani dość energii, by wzbudzić we mnie chęć zawarcia z nią małżeństwa. Tak więc miałem już blisko lat 50, a wciąż jeszcze byłem kawalerem. Tym razem stało się inaczej, Panna Regina Barwińska nie tylko podobała mi się ze swej urody i świeżości, ale nadto okazała mi tyle uczucia, którego dotąd nie doznałem, że skrupuły moje, czy małżeństwo nie zaszkodzi mi w pracy naukowej, poczęły słabnąć. Poza tym, o czym dowiedziałem się dopiero po ślubie, moja panna Renia postanowiła sobie, że musi mnie zdobyć na męża i miała dość energii, by zamiar ten doprowadzić do skutku. Powtórzyła się tutaj ta sama historia, która kilkanaście lat przed tym przydarzyła się starszemu ode mnie o lat dwanaście Antoniemu Kostaneckiemu. I on był już koło pięćdziesiątki, gdy porzucił starokawalerstwo, żeniąc się z panną Anitą Gayerówną, która umiała skłonić go do tego. Kostanecki nie namyślał się długo i nie zwlekał ze ślubem. Przyszła jego żona była bogatą dziedziczką, a i on sam miał duże dochody, jak wszyscy profesorowie na wydziale prawa. Ja musiałem się dłużej zastanawiać i zwlekać, bo ani przyszła żona moja nie była bogata, ani ja sam nie miałem ustalonego stanowiska, bo byłem w tym czasie tylko profesorem kontraktowym. Zwlekałem ze ślubem, chcąc doczekać się nominacji na profesora stałego, lecz

nie doczekałem się, bo nominacja moja na profesora zwyczajnego przysłała dopiero w dwa miesiące po ślubie.

17.6.1949 [s. 40]

Obawy moje, że żona przeszkadzać mi będzie w pracy naukowej, na szczęście nie sprawdziły się. Nie mogłem oczywiście wymagać od niej, by mi w tej pracy bezpośrednio pomagała, logika matematyczna bowiem, którą się zajmowałem, należy niewątpliwie do najtrudniejszych nauk i jest dostępną tylko wybranej garstce jednostek. Jednakże żona moja prędko zrozumiała, o co w tej pracy chodzi i że należy ją szanować. Dała mi więc dosyć czasu, którego użyć mogłem na pracę naukową. Dziś widzę nawet, że to raczej ja za mało czasu jej poświęcałem, a za dużo obracałem na własne potrzeby. Nigdy dużo nie pisałem, pisanie zawsze sprawiało mi wielką trudność. Nie ogłosiłem od czasu ożenienia się swego zbyt dużo prac. Ale te, które ogłosiłem, należą zdaniem moim do najlepszych. Mam tu na myśli przede wszystkim dwie rozprawy wydane przeze mnie po niemiecku, jedna z nich ogłoszona w Warszawie w sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego w roku 1930 dotyczy wielowartościowych systemów logiki zdań<sup>6</sup>, druga ogłoszona w Lipsku w czasopiśmie „Erkenntnis” w roku 1935, a następnie w przekładzie dokonany przeze mnie w „Przełęczach Filozoficznym”<sup>7</sup>, dotyczy historii logiki zdań, rehabilitując starożytnych stoików. Życie żony mojej, odkąd pobraliśmy się, polegało głównie na ciągłym tworzeniu domu czyli, jak mówiła, „domku”. Naprzód trzeba było stworzyć domek z mego kawalerskiego mieszkania, które było bardzo zapuszczone. Następnie, gdy dostaliśmy obszerniejsze mieszkanie na Brzozowej, trzeba było umeblować stołowy. Wreszcie Sewerynow, nasz najpiękniejszy domek. Mnóstwo myśli, pracy i pieniędzy żona włożyła w tworzenie domku i wszystko poszło na marne. We wrześniu 1939 splonęło

---

<sup>6</sup> J. Łukasiewicz, *Uwagi filozoficzne o wielowartościowych systemach rachunku zdań*, w: idem, *Z zagadnień logiki i filozofii*, op. cit., s. 144-163.

<sup>7</sup> J. Łukasiewicz, *Z historii logiki zdań*, op. cit., s. 178-194.



podczas wojny mieszkanie nasze ze wszystkimi meblami. Trzeba było na nowo tworzyć domek w pierwszym naszym mieszkaniu, moim dawnym kawalerskim. I ten domek znowu poszedł na marne podczas powstania warszawskiego w roku 1944, tylko, że nas już wtedy w Warszawie nie było. I jeszcze jeden domek trzeba było stworzyć, na obczyźnie, w dalekiej Irlandii, gdzie właśnie piszemy te słowa. Mamy nadzieję, żona moja i ja, że ta praca tworzenia domku jeszcze raz się powtórzy, oby po raz ostatni, gdy wrócimy z wygnania do wolnej już Ojczyzny.

[Pod datami 18, 19, 22 i 23.6.1949 (s. 41-45) Łukasiewicz wspomina wyposażanie mieszkania na Sewerynowie oraz jego pożar w pierwszym miesiącu wojny. Odnotowuje także sposób, w jaki przed wojną wspólnie z żoną spędzał wakacje w Zakopanym i na Podolu. Wspomina wizytę w zamku księcia Kaliksta Ponińskiego w Czerwonogrodzie, oraz spotkanie z synem Alfreda Halbana. Dalej opisuje zwiedzanie Żółkwi oraz Targów Wschodnich we Lwowie, wizyty w Konstancinie, Poznaniu, Wilnie i Krakowie.]

23.6.1949 [s. 45]

(...) W lutym roku 1936 byłem zaproszony na wykłady do Münster. Miałem jeden wykład publiczny w auli Uniwersytetu: O starej i nowej logice, i kilka dalszych wykładów z logiki w seminarium Scholza. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Scholz urządził wieczór we frakach, na którym było obecnych 30 profesorów. Scholz wznosił dowcipne toasty na cześć swych kolegów, z którymi miał jakieś sprawy do załatwienia. Ówczesny rektor Uniwersytetu, który jako hitlerowiec musiał uciekać z Wiednia, wydał dla nas obiad, racząc nas doskonałymi pstrągami. Po wykładzie byliśmy w Rathauskeller, gdzie zjawił się między innymi Heyting, który na mój wykład przyjechał z Holandii. Miły nastrój zepsuty był przez jakiegoś szpicla, który w niezgrabny sposób zaczął wypytywać żonę moją o nasze stosunki z Polakami w Münster pod pretekstem, że chce znaleźć dla siebie nauczycielkę do języka polskiego. Żona moja zorientowała się od razu, z kim ma

do czynienia, opowiedziała o tej rozmowie Scholzowi i szpicel od tej chwili znikł.

24.6.1949 [s. 46-47]

Tego samego roku, w którym miałem wykłady w Münster, zaproszony zostałem także na dwa wykłady do Sorbony. Było to w maju 1936. Warszawskie Ministerstwo Oświaty miało swego delegata w Paryżu, którego zadaniem było dbać o wymianę profesorów obu krajów. Delegatem tym był docent polonistyki w Uniwersytecie Warszawskim dr Zaleski. On też pośredniczył i w mojej sprawie, i zajął się nami, to jest mną i żoną moją, w Paryżu. Czekał nas w Paryżu na dworcu i zawiózł nas do hotelu Lutetia na Boulevard Raspail. Tam mieszkaliśmy przez cały tydzień i jadaliliśmy tam obiady i kolacje. Jedzenie było doskonałe i zwyczajem francuskim podlewane obficie winem. Po pierwszym takim obiedzie żona moja z trudnością wstała od stołu, ale potem przyzwyczaiła się pić dużo wina przy jedzeniu. Wykłady, które miałem wygłosić były wbrew zwyczajowi mojemu napisane od początku do końca, nie mogłem bowiem odważyć się by mówić swobodnie po francusku. Przygotowałem więc w Warszawie dwa wykłady po polsku i dałem je przełożyć na francuski do Instytutu Francuskiego. Jeden z tych wykładów traktował o logice Arystotelesa, a drugi, i ile pamiętam, o logikach wielowartościowych. Woźny z berłem i w tozde wprowadzał prelegenta do Sali wykładowej. Audytorium było dość liczne, poprzychodzili na wykłady nasi znajomi, jak profesor Montel i Destouches, a także niektórzy Polacy mieszkający w Paryżu, jak ksiądz Jakubisiak. Z księdzem tym miałem na pieńku, bo napadł w sposób zarówno głupi jak brzydki na mnie i na moją szkołę. Udobruchał się, gdy zaprosiliśmy go na obiad do Lutecji, podlany obficie winem, ale gdy później po kilku tygodniach przeczytał w „Przeglądzie Filozoficznym” mój artykuł *Logistyka a filozofia*<sup>8</sup>, obraził się śmiertelnie. Nie było dość czasu, by

---

<sup>8</sup> J. Łukasiewicz, *Logistyka a filozofia*, w: idem, *Z zagadnień logiki i filozofii*, op. cit., s. 195-209.

duża zwiedzić w Paryżu, byliśmy jednakowoż w Luwrze, zaproszeni na otwarcie instalacji elektrycznej, oświetlającej Luwr wieczorem. Byliśmy także w Wersalu, przy czym po drodze widzieliśmy Lasek Buloński i Łuk Tryumfalny na Polach Elizejskich. Żona moja ponadto była zaproszona przez pewną dziennikarkę na pokaz modeli sukien do firmy Paquin. Pokazom przypatrywały się bogate Amerykanki, chociaż było rzeczą oczywistą, że każda suknia, którą włożą, będzie na nich źle leżała i brzydko wyglądała. Honory domu robiła starsza pani z włosami pofarbowanymi na fioletowo. Byliśmy zaproszeni na obiad do państwa Zaleskich i spotkaliśmy tam profesora Ignacego Chrzanowskiego. Widziałem go wtedy po raz ostatni i nikt z nas nie przeczuwał, że w kilka lat później zginie tragiczną śmiercią w niemieckim obozie koncentracyjnym.

Żona moja na pamiątkę naszego pobytu w Paryżu napisała taki oto zabawny dziecinny wierszyk:

Była sobie Kićka mała,	O odbitki pięknie prosił.
Co w Sorbonie wykładała,	Jakubisiak patrzył w ziemię,
A studenci zachwyceni	Bo nieczyste miał sumienie.
Oklaskami ją przyjęli.	Pan Zaleski dumny z Kota
Kićka za to wdzięczna była	Wnet telegram dał do Pata,
I z uznania się cieszyła.	A Zaleska jego żona
Montel żywo z Kotem gadał,	W polityce pograżona.
Kot logicznie odpowiadał	Piesek cicho siedział w tyle
Destouches się do Kota zgłosił,	I ogonkiem merdał mile.

[Pod datami 25, 26 i 30.6.1949 (s. 48-52) oraz pod datą 2.7.1949 (s. 53) Łukasiewicz wymienia licznych członków swojej bliższej i dalszej rodziny. Wspomina również kolegów szkolnych.]

3.7.1949 [s. 54-56]

Inny z moich kolegów szkolnych, Antoni Doermann, był zrazu urzędnikiem Florianki w Krakowie, później za czasów polskich prezesem Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Warszawie, a pod koniec życia swego dyrektorem jakiegoś banku w Poznaniu.

Umarł jeszcze przed drugą wojną. Z kolegami gimnazjalnymi po maturze przestałem się spotykać, bo sam jeden poszedłem na wydział filozoficzny. Zyskałem sobie natomiast nowych kolegów, filozofów. Należeli do nich przede wszystkim Bronisław Bandrowski, Marian Borowski, Teodor Mianowski, Władysław Witwicki i Stanisław Zabielski. Wszyscy już nie żyją. Bandrowski był profesorem gimnazjalnym, wydał pracę o indukcji, specjalizował się w psychologii i zginął młodo w roku 1914 tragiczną śmiercią w Tatrach. Marian Borowski był to nie tylko filozof, który ogłosił szereg rozpraw w "Przeglądzie Filozoficznym", ale był nadto prawnikiem i urzędnikiem starostwa, a za czasów polskich urzędnikiem w Ministerstwie Oświaty. Pierwsza żona jego Janina Klecówna-Borowska miała sensacyjny proces w Krakowie o zabójstwo adwokata Lewickiego. Teodor Mianowski studiował obok filozofii filologię klasyczną i pisywał wiersze. Wydał bardzo dobry przekład dramatu muzycznego Wagnera *Walkiria*. Przyjaźnił się ze znanym muzykiem lwowskim Gallem, był profesorem i dyrektorem gimnazjalnym i umarł przed drugą wojną na raka. Władysław Witwicki, to mój współzawodnik z seminarium Twardowskiego. Twardowski starał się nas traktować na równi. Nie było to rzeczą łatwą, bo pracowaliśmy na różnych polach i w różnych kierunkach. Witwicki nie miał zamiłowania czy zdolności do twórczej pracy naukowej. Napisał podręcznik psychologii, pisywał popularne prace z zakresu filozofii i historii sztuki, oraz tłumaczył Platona. Jego bodaj jedyna działalność twórcza obejmuje analizy psychologiczne ambicji i objawów woli. Witwicki był długie lata profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i umarł w roku 1948. Stanisław Zabielski sekretarz, a po mnie przewodniczący, Kółka Filozoficznego w Czytelni Akademickiej, nie miał ambicji naukowych. Został profesorem i dyrektorem gimnazjalnym, przez jakiś czas jako podpułkownik wojsk polskich był dyrektorem szkoły kadeckiej we Lwowie. Umarł przed drugą wojną w Przeworsku. Do tych pięciu bliskich mi kolegów należy dodać jako szóstego Alfonsa Barona. Baron był niedokończonym studentem prawa, bo nie mógł się zdobyć

na odwagę, by przystąpić do egzaminu. Interesował się filozofią, oraz zaczytywał się w Schopenhauerze, który był jego ulubionym autorem, twierdził, że Freud główne swe pomysły wzięł od Schopenhauera. Głowę miał pełną filozoficznych pomysłów, związanych z zagadnieniem życia i miłości, obiecywał, że napisze sensacyjną książkę na ten temat, miał całe paki brulionów, ale jak się zdaje nigdy do końca nie doszedł. Był zwykłym urzędnikiem pocztowym i cenił sobie bardzo swą rangę oficerską w rezerwie. W czasie pierwszej wojny był kapitanem w armii austriackiej, do wojska polskiego poszedł jako major. Odznaczał się dużym dowcipem. Pamiętam, jak przyszedłszy raz obaj do Kawiarni Szkockiej na Placu Akademickim we Lwowie. Siedliśmy przy stoliku i zaraz nawinął się kelner. „Już po raz trzeci proszę o pół czarnej i szklankę wody”. Byłem zdziwiony. „Przecież dopiero co przyszedłszy”. „Bo widzisz”, odpowiedział, „w tej kawiarni trzeba o wszystko prosić po sześć razy. Więc ja zaczynam od trzeciego razu”. Z tym Baronem zrobiliśmy ja i żona moja ów piękny chiński spacer w roku 1933<sup>9</sup>. Baron odczuł bardzo silnie zajęcie Lwowa przez sowietów w roku 1939. W roku 1940 doszła nas wiadomość, że powiesił się we własnym mieszkaniu. Koledzy moi z Uniwersytetu, o których była wyżej mowa, należeli wraz z Twardowskim i ze mną do współzałożycieli Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie. Twardowski jako datę inauguracyjną Towarzystwa obrał dzień setnej rocznicy śmierci Kanta, to jest dzień 12 lutego 1904. Dziś nie pochwalam tego wyboru, bo mam bardzo ujemne zdanie o wartości filozofii Kanta. Wtedy oczywiście uważaliśmy, że nawiązujemy do najlepszych tradycji filozoficznych. Uprosilśmy historyka literatury polskiej i tłumacza Kanta na polski Piotra Chmielowskiego, który był wówczas profesorem Uniwersytetu we Lwowie, by wygłosił odczyt o Kancie na inauguracyjnym posiedzeniu. Ja jako sekretarz Towarzystwa przywozłem profesora z mieszkania jego, przy ulicy Gołębiej, która nazwana została później ulicą Piotra Chmielowskiego,

---

<sup>9</sup> Łukasiewicz odnosi się do opisanego na s. 43 spaceru, który odbył we Lwowie. Spacer ten Alfons Baron nazywał chińskim.

do zakładu chemii przy ulicy Długosza, gdzie odbywało się posiedzenie. Odczyt p.t. *Kant w Polsce* posłany został do „Przeglądu Filozoficznego” w Warszawie. Cenzura rosyjska nie chciała puścić tytułu „w Polsce”. Redaktor Przeglądu Weryho zagroził, że wydrukuje tytuł w ten sposób: Kant w Guberni Warszawskiej, Radomskiej, Kieleckiej itd. Cenzura musiała się wobec tego zgodzić na tytuł pierwotny.

5.7.1949 [s. 57]

Polskie Towarzystwo Filozoficzne założone przez Twardowskiego w setną rocznicę śmierci Kanta, nie miało zdaniem moim wyraźnego oblicza filozoficznego. Twardowski był uczniem Brentana, a Brentano był pierwotnie księdzem katolickim i uznanie dla Arystotelesa wyczuwa się nawet w tych jego pracach, które napisał po wystąpieniu z kościoła katolickiego. Twardowski bardzo cenił sobie prace drugiego księdza, żyjącego w pierwszej połowie XIX wieku, Bernarda Bolzana. Bolzano był profesorem nauki religii w uniwersytecie w Pradze i był wybitnym matematykiem oraz logikiem. Dzieła jego z zakresu logiki mają nierównie wyższy poziom naukowy, niż filozoficzna gadanina Kanta czy Hegla. Gdyby Twardowski był zrozumiał różnicę metody naukowej, stosowanej przez Bolzana, od bezładnej i często bezmyślnej gadaniny filozofów niemieckich, byłby może stworzył nowy kierunek naukowej filozofii, przewyższający swą wartością poglądy Koła Wiedeńskiego. Tymczasem Twardowski był pod urokiem nie tyle Arystotelesowskiego okresu Brentana, ile jego późniejszych prac filozoficznych zarażonych psychologizmem. Aparat pomysłów i zagadnień, jakie Twardowski przywiózł z Wiednia do Lwowa był niesłychanie jałowy i ubogi. Ciągłe mówiło się o tym, czy przekonanie jest zjawiskiem psychicznym odrębnego rodzaju, czy też jest połączeniem pojęć, ciągle mówiło się o wyobrażeniach, przedstawieniach, pojęciach, o ich treści i przedmiocie, i nie wiadomo było, czy analizy, jakie się przy tym robiło, należały do psychologii,

czy do logiki, czy do gramatyki. Pierwszy tom badań logicznych<sup>10</sup> Husserla zrobił we Lwowie ogromne wrażenie, zwłaszcza na mnie. Od dawna już nie lubiłem psychologizmu, uprawianego przez Twardowskiego, teraz zerwałem z nim całkowicie. Tom drugi badań logicznych Husserla<sup>11</sup> rozczarował mnie jednak. Zawierała się w nim znowu jakaś mętna gadanina filozoficzna, która odpychała mnie od wszystkich filozofów niemieckich. Dziwiłem się, że taka różnica może zachodzić między dwoma tomami tego samego dzieła. Przekonałem się później, że w pierwszym tomie badań logicznych przemówi do mnie nie Husserl, tylko ktoś daleko większy od niego, którego Husserl wykorzystał w swojej książce, a był nim Gottlob Frege.

6.7.1949 [s. 58-59]

W roku 1904 dostałem stypendium z Wydziału Krajowego na wyjazd za granicę. Wyjechałem do Berlina i zapisałem się jako student zwyczajny Uniwersytetu Berlińskiego. Chodziłem na seminarium Stumpfa i na ćwiczenia do instytutu psychologii eksperymentalnej. Oprócz mnie tylko dwie jeszcze osoby brały udział w tych ćwiczeniach, jeden Niemiec, którego nazwiska nie pamiętam, i panna von Maltzew, która z nazwiska swego mogła uchodzić za Niemkę, a była z pochodzenia swego czystej krwi Rosjanką i córką popa przy ambasadzie rosyjskiej w Berlinie. W Berlinie chciałem się zapoznać z psychologią eksperymentalną, której nie znałem, ale źle trafiłem, bo nikt się w instytucie nami nie zajmował, a kierownik instytutu dr Schumann wkrótce potem został profesorem w Szwajcarii. W Berlinie utrzymywałem stosunki z przyjacielem Twardowskiego byłym docentem w Monachium, Schmidkunzem, którego konikiem była pedagogika szkół akademickich. On mnie namówił, ażebym na letni semestr pojechał do katolickiego Uniwersytetu w Lowanium.

---

<sup>10</sup> E. Husserl, *Logische Untersuchungen. Erster Teil: Prolegomena zur reinen Logik*. Halle 1900.

<sup>11</sup> E. Husserl, *Logische Untersuchungen. Zweiter Teil: Untersuchungen zur Phänomenologie und Theorie der Erkenntnis*, Halle 1901.

Posłuchałem go i letni semestr 1905 spędziłem w Belgii. Chodziłem na wykłady ks. Merciera, który stał na czele studium filozoficznego pod wezwaniem św. Tomasza z Akwinu. Mercier był to już starszy człowiek, wysoki, chudy, wykladał stojąc na katedrze i kręcąc palcami ołówkę. Dewizą jego było zdanie „Sit Sapientia Merces” to znaczy „niech mądrość będzie nagrodą”, co studenci przekręcili na zdanie „Sit Sapiens Mercier” co znaczyło „oby Mercier był mądry”. Jak wiadomo Mercier niedługo później został arcybiskupem i prymasem Belgii oraz kardynałem. Przeszedł do historii nie tyle jako filozof, ile jako nieustraszony bojownik w obronie narodu swego i Kościoła przeciw Niemcom w czasie pierwszej wojny światowej. Ruch intelektualny w Lowanium był wtedy bardzo duży, żyły jeszcze prądy modernistyczne, które niebawem miały zamilknąć na skutek encykliki Piusa X. I polscy księża brali udział w tym ruchu. Spotkałem tam jednego, który w moich oczach zrzucił sutannę i przywdział ubranie cywilne, okazując przez to, że przestaje być księdzem. Był później nauczycielem w Warszawie. Po raz drugi w swym życiu byłem w Lowanium 40 lat później. Wybraliśmy się z Brukseli, Drewnowski, Plater i ja na uroczystość otwarcia stowarzyszenia studenckiego polsko-belgijskiego. Gdy rektor wspomniał, że wśród gości znajduje się były student uniwersytetu sprzed 40 lat, sala rozbrzmiała oklaskami.

Podczas pobytu za granicą przygotowałem rozprawę o przyczynowości na konkurs „Przeglądu Filozoficznego”<sup>12</sup>. Rozprawę posłałem do Warszawy pod godłem „Arceo psychologiam”, co miało znaczyć „trzymam się z dala od psychologii”. Rozprawa dostała pierwszą nagrodę, zdaniem moim niesłusznie. Miała to być analiza i konstrukcja pojęcia przyczyny, ale za mało wówczas rozumiałem się na logice, by zrobić taką analizę porządnie. Rozprawy tej dziś już nie uznaję, chociaż Twardowski przyjął ją, jako pracę habilitacyjną. Docentem prywatnym filozofii zostałem w roku 1906. Już w pierwszym swym wykładzie mówiłem o logice matematycznej,

---

<sup>12</sup> J. Łukasiewicz, *Analiza i konstrukcja pojęcia przyczyny*, w: idem, *Z zagadnień logiki i filozofii*, op. cit., s. 9-62.



choć mało jeszcze o niej wiedziałem. W czasie moich studiów uniwersyteckich we Lwowie Twardowski ogłosił raz jednogodzinny wykład o dążnościach reformatorskich w logice. W wykładzie tym mówił o tak zwanej kwantyfikacji orzeczenia, wymyślonej przez Hamiltona i przedstawił system algebry logicznej Boole'a. Wykład ten nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Przekonałem się później, że oparty był na bardzo słabej rozprawce francuskiej o logikach angielskich Liarda. Do logiki matematycznej trafiłem na całkiem innej drodze. Mój kolega Borowski zwrócił się raz do mnie z prośbą, bym przeczytał i wyjaśnił mu artykuł, którym zainteresował się, a który pojawił się w angielskim czasopiśmie filozoficznym *Mind*. Artykuł nosił tytuł *O porządku* i podpisany był przez Bertranda Russella<sup>13</sup>. Artykuł ten zrobił na mnie wielkie wrażenie. Ujrzałem, że ktoś na serio poucza mnie w ścisły, matematyczny sposób, co należy rozumieć przez zbiór uporządkowany, zamiast zaprzętać mi głowę bzdurami filozoficznymi. Ponieważ byłem w tym czasie praktykantem w bibliotece uniwersyteckiej, przeto poprosiłem dyrektora biblioteki Aleksandra Semkowicza, historyka i ojca historyka Władysława, by sprowadził dla mnie dzieło Russella *The Principles of Mathematics*<sup>14</sup>. Jest to chyba najlepsza książka Russella i studiowałem ją całymi miesiącami. To była droga moja do logiki matematycznej. Naprawdę zająłem się logiką matematyczną w kilka lat później i w czasie pierwszej wojny światowej.

7.7.1949 [s. 61]

Przez to, że zająłem się logiką z uwzględnieniem kierunku matematycznego, usamodzielniałem się całkowicie w stosunku do Twardowskiego. Twardowski nie miał, jak się zdaje, zdolności do matematyki i logika matematyczna pozostała mu na zawsze obca. Główna rzecz, jaką zawdzięczam Twardowskiemu, to nie wiedza

---

<sup>13</sup> B. Russell, *On the Notion of Order*, w: *Mind*, Vol. 10, No. 37 (styczeń 1901), s. 30-51.

<sup>14</sup> B. Russell, *The Principles of Mathematics*, London 1903.

logiczna czy filozoficzna, ani ścisłość myślenia, tylko zdolność do jasnego układania i przedstawiania najtrudniejszych nawet zagadnień i poglądów. Twardowski miał tę zdolność w wysokim stopniu i ja starałem się jakoś podpatrzeć jak to się robi. Dzięki temu, że Twardowski umiał jasno myśleć i jasno mówić, był on doskonałym nauczycielem i miał tylu uczniów. Ścisłości w myśleniu nie nauczyłem się jednak od Twardowskiego. Co znaczy myśleć ściśle, dowiedziałem się dopiero w Warszawie od Leśniewskiego. W roku 1908 otrzymałem po raz drugi stypendium na wyjazd za granicę, tym razem z Akademii Umiejętności z fundacji Osławskiego. Stypendium to wynosiło 5000 koron. Wyjechałem naprzód do Grazu, gdzie chciałem poznać Meinonga. W Grazu zamieszkałem w hotelu pod złotą gruszką, „Zur golden Birn”, gdzie wiele lat później mieściła się podobno główna kwatera hitlerowców. Chodziłem tylko na wykłady Meinonga i na jego seminarium. Dziwne to było seminarium. Brali w nim udział profesor pedagogiki w Grazu Martiniak, profesor matematyki Daublebsky von Sterneck, profesor fizyki w Grazu zdaje się Bensdorf, docent psychologii Benussi z żoną, gość ze Szwecji profesor Liljequist z Lund, gość ze Lwowa, to znaczy ja, i jeden jedyny autentyczny student. Czytaliśmy i dyskutowaliśmy rozprawę Kriesa o prawdopodobieństwie<sup>15</sup>. Ja miałem już wtedy pewne określone poglądy w tej sprawie, które nie były po myśli Meinonga, a które ogłosiłem kilka lat później w Akademii Umiejętności pod tytułem *Die logischen Grundlagen der Wahrscheinlichkeitsrechnung*<sup>16</sup>. Na Boże Narodzenie wróciłem do Lwowa, a po świętach wybrałem się na dalsze studia do Paryża.

12.7.1949 [s. 62]

Pobyt mój w Paryżu nie trwał długo. Otrzymałem bowiem niebawem po przyjeździe telegram ze Lwowa z wiadomością, żebym wró-

<sup>15</sup> J. v. Kries, *Die Principien Der Wahrscheinlichkeitsrechnung*, Tübingen 1886.

<sup>16</sup> J. Łukasiewicz, *Podstawy logiczne rachunku prawdopodobieństwa*, w: idem, *Z zagadnień logiki i filozofii*, op. cit., s. 76-113.

cił do domu, bo matka moja ciężko zachorowała. Wyjechałem z Paryża natychmiast przez Niemcy i Wiedeń i stwierdziłem po przybyciu do Lwowa, że matka zachorowała poważnie na ogniskowe zapalenie płuc. Choroba trwała długo i miała ciężki przebieg. Matka moja już nigdy do dawnych sił nie wróciła, osłabiony organizm nie był dość odporny wobec prądków gruźliczych, wywiązała się starcza forma gruźlicy, która w dwa lata później położyła kres jej życiu. Ponieważ przerwałem swe studia w Paryżu, a miałem stypendium na wyjazd za granicę, przeto uważałem za swój obowiązek donieść Akademii, że muszę przy chorej matce pozostać we Lwowie. Akademią Krakowską trząśł wówczas jej sekretarz generalny profesor Ulanowski. Był to człowiek o ogromnym temperamencie, stale podniecony gruźlicą kości, z powodu której musiano mu amputować jedną nogę. Widziałem się z nim kilkakrotnie, gdy przejeżdżałem przez Kraków za granicę. Zrobił na mnie wrażenie niemiłe, bo żądał ode mnie abym mu donosił z Paryża, co robią stypendyści Akademii. Na list mój donoszący, że z powodu choroby mojej matki przerwałem studia w Paryżu, Ulanowski odpowiedział, że nie uznaje tego powodu i że mam wracać do Paryża, jeżeli nie chcę stracić stypendium. Byłem oburzony i oburzeniu temu dałem wyraz w liście do Twardowskiego. Ku mojemu zdziwieniu Twardowski odpisał szorstko, stając po stronie Ulanowskiego. To był pierwszy rozdźwięk między mną a Twardowskim, od tego czasu zmienił się mój stosunek do Twardowskiego zasadniczo. Przestałem w nim widzieć przyjaciela i mistrza. Rozumiałem, że mam mu wiele do zawdzięczenia, starałem się utrzymywać z nim stosunki poprawne, ale bez serdeczności. Gdy stan zdrowia matki mojej poprawił się nieco, wyjechałem na dalsze studia, a przejeżdżając przez Kraków zrobiłem coś jedyny raz w swym życiu: zwymyślałem Ulanowskiego za jego stanowisko moralne wobec stypendystów Akademii. Dostałem drugą ratę stypendialną i wyjechałem po raz wtóry do Grazu. W Grazu wykończyłem książkę *O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa*<sup>17</sup>, która w 1910 wydana została drukiem przez Akademię Umiejętności.

---

<sup>17</sup> J. Łukasiewicz, *O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa*, Kraków 1910.

13.7.1949 [s. 62]

Książka moja o zasadzie sprzeczności u Arystotelesa, wydana w 1910, pojawiła się w chwili, w której wakowały w Krakowie obie katedry filozofii. Zdawało mi się, że nikt nie ma lepszych kwalifikacji ode mnie, by dostać jedną z tym katedr. Tymczasem stało się inaczej. Kraków obsadził nie dwie, ale trzy katedry filozofii, pomijając mnie całkowicie. Jedną katedrę dostał wtedy starszy ode mnie docent filozofii we Lwowie, Witold Rubczyński. Był to bardzo zacny człowiek, prawnik i urzędnik, był radcą w Prokuraturii Skarbu, w filozofii nie miał znaczenia ani jako autor ani jako profesor. Tę katedrę obsadzili humaniści. Drugą i trzecią obsadzili przyrodnicy, filozofowie jak się zdaje nie mieli w tej sprawie głosu. W ten sposób drugą katedrę filozofii otrzymał asystent fizyki profesora Witkowskiego, pan Heinrich od Simplicissimusa, trzecią zaś profesor zoologii Garbowski, którego przemianowano na filozofia, by jak mówiono zrobić miejsce dla Siedleckiego. W rezultacie zadano śmiertelny cios krakowskiej filozofii na przeciąg lat trzydziestu. Zmarnowano przy tym Garbowskiego, który mógł się wyrobić na dobrego zoologa, a filozofem nigdy nie został. W jaki rok po swej nominacji Garbowski zwierzył mi się, że ogłosił ćwiczenia z *Krytyki czystego rozumu* Kanta, by raz przecież zapoznać się samemu z tym dziełem. Zamiast otrzymać katedrę w Krakowie, dostałem w roku 1911 we Lwowie tytuł profesora nadzwyczajnego i wykłady zlecone za remuneracją 600 koron rocznie. „Będzie pan miał na papierosy”, powiedział Twardowski. Nominacja ta została podpisana przez cesarza Franciszka Józefa I dnia 3 maja 1911 roku, kiedy wraz z matką przebywałem w Lowranie nad Adriatykiem. Była to ostatnia podróż mojej matki, która w tym samym roku 17 listopada zakończyła życie. Jako profesor tytularny wykladałem w ciągu następných dwóch lat i domagałem się, żeby mnie nareszcie zrobiono profesorem rzeczywistym. Na tym tle doszło do starć między mną a Twardowskim, tak że przed samym wybuchem pierwszej wojny światowej nie miałem żadnych szans otrzymania katedry w Galicji.

[Notatki z 14 i 15.7.1949 (s. 64-65) opisują pierwsze dni drugiej wojny światowej, która zastała Łukasiewicza podczas pracy nad monografią o logice Arystotelesa w Warszawie. Notatka sporządzona dnia 16.7.1949 w pierwszej osobie rodzaju żeńskiego najwyraźniej została sporządzona przez żonę Łukasiewicza. Łukasiewiczowie wspominają koszmar wojennych dni, wszechobecną śmierć i zniszczenie. Dnia 25 września 1939 spłonęło ich mieszkanie na Sewerynowie, wraz z całym dobytkiem oraz wszystkimi książkami i rękopisami. Po kapitulacji znaleźli schronienie w domu profesorskim na Brzozowej.]

18.7.1949 [s. 67]

Na Brzozowej 12 mieliśmy wrogów od dawna. Wrogo nastawiona była druga żona Witwickiego z pochodzenia żydówka, może dlatego, że żona moja nie uznawała rozwodów. Sam Witwicki dawno już przestał widywać się ze mną, choć nie było nigdy między nami żadnego nieporozumienia. Zdziwaczał po prostu i nie udzielał się nigdzie. Niechętny był mi także Kotarbiński, o czym przekonałem się bardzo późno, bo zawsze uważałem jego jak i Leśniewskiego za ludzi mi bliskich. Do tych osobistych niechęci dołączyły się różnice polityczne. Nie byłem nigdy lewicowcem, ostatnio utrzymywałem stosunki z prawicą. Złożyło się, że dzięki swym pracom naukowym nawiązałem stosunki z księżmi, przede wszystkim z księdzem rektorem Konstantym Michalskim, któremu zawdzięczałem powołanie do Akademii. Zbliżył mnie do księży fakt, że znalazłem wśród scholastyków średnio-wiecznych pierwszorzędnych logików i zrehabilitowałem w ten sposób logikę scholastyczną. Zdobyłem sobie uczniów wśród księży, którzy zainteresowali się historią logiki średniowiecznej, jak ks. Salamucha, a za jego pośrednictwem ojciec Bocheński, Dominikanin. Również logiką matematyczną zainteresowali się księża, widząc w niej broń do odpierania ataków na religię. To wszystko mogło się nie podobać ludziom takim jak Kotarbiński, który był wrogiem kościoła. Do tej niechęci na tle religijnym dołączyła się od czasu wojny niechęć na tle nacjonalistycznym. Wszyscy pamiętali, jak przed rokiem w amba-

sadzie niemieckiej otrzymałem doktorat honorowy uniwersytetu w Münster, i zdawało się wszystkim, że z tego powodu muszę sprzyjać Niemcom. Widzieli nawet, że jacyś Niemcy w mundurach odwiedzali nas na Brzozowej. Byli to dawni urzędnicy ambasady niemieckiej w Warszawie, pan Baum, Niemiec z Rygi i pan Danek ze Śląska austriackiego, były konsul austriacki w Polsce przed Anshlussem. Przychodzili oni do nas by dowiedzieć się o naszym losie i zawiadomić przyjaciela naszego Scholza, co się z nami stało. Baum wkrótce potem zmarł w tragiczny sposób, jak czytaliśmy w niemieckiej gazecie, w Berlinie, co się zaś stało z Dankiem, który dobrze mówił po polsku i był podobno lektorem języka polskiego w uniwersytecie wiedeńskim, nie wiemy. Z dzienników dowiedzieliśmy się, że ambasador Moltke zmarł nagle na swej nowej placówce w Madrycie.

20.7.1949 [s. 68]

Mieszkaliśmy na Brzozowej od października 1939 do lipca 1944, a więc cztery i pół lat. Żyliśmy przez ten cały czas pod okupacją niemiecką. Był to chyba najgorszy okres w naszym życiu. Uniwersytet był zamknięty, pensji profesorskiej nie płacono. Mój przyjaciel Scholz wystarał się dla mnie za pośrednictwem władz niemieckich w Warszawie o zajęcie w Magistracie warszawskim. Otrzymałem mianowicie posadę urzędniczą w Archiwum Miejskim z płacą około 300 złotych miesięcznie. Płaca ta nie wystarczała na życie, skoro kilogram słoniny lub masła kosztował 500 złotych, dawała jednakże zabezpieczenie, że nie wezmą mnie na roboty. W Archiwum pracowałem 4 godziny dziennie i w ciągu 4 lat skatalogowałem kilka tysięcy akt gruntowych miejskich. Dyrektorem Archiwum był z początku Englert, a po jego usunięciu przez Niemców Bachulski. Chodziłem do biura codziennie ulicą Długą, gdyż Archiwum mieściło się na rogu Długiej i Nalewek w dawnym Arsenale wojskowym. Ja byłem chyba pierwszym profesorem zatrudnionym przez Magistrat, po mnie inni moi koledzy otrzymali mniej lub więcej fikcyjne posady w Magistracie, jak Sierpiński, Krokiewicz, Stefan Mazurkiewicz. Magistrat przyszedł w ten sposób

z pomocą profesurze. Życie było nie tylko trudne z powodu braków materialnych, ale i bardzo denerwujące z powodów moralnych. Było rzeczą jasną, że Niemcy chcą nas zniszczyć, a okrucieństwo jakie wobec nas stosowali, musiało wywołać reakcję. Zabójstwa żołnierzy niemieckich na ulicach Warszawy zdarzały się bardzo często. Sami byliśmy świadkami następującego zdarzenia. Siedział sobie na Starym Mieście na kupie żółtego piasku starszy wiekiem żołnierz niemiecki i szkicował domy Starego Miasta. Dzieci staromiejskie tłoczyły się wkoło niego, przyglądając mu się i przeszkadzając mu, lecz on nie zwracał na nie uwagi i bawił się nawet z nimi. Nagle nadeszło kilku młodych ludzi i jeden z nich strzelił kilkakrotnie w tym głowy żołnierzowi. Żołnierz się przewrócił martwy, a dzieci się rozbiegły. Żona moja był świadkiem wielu takich zdarzeń. Niemcy mścili się, biorąc zakładników i rozstrzeliwując ich setkami na ulicach miasta. Żona moja była świadkiem takiej egzekucji na Miodowej pod murami rozwalonego domu. Przywieziono skazańców białych jak płótno, bo wszelką krew z nich ściągnięto, poustawiano ich po murami i zabijano z karabinów maszynowych. Ludność ubierała miejsce kaźni kwiatami i paliła świece na cześć umęczonych.

21.7.1949 [s. 69-70]

Ani ja ani moja żona nie chcieliśmy należeć do żadnej organizacji podziemnej w czasie okupacji. Ja tylko brałem przez krótki czas udział w wykładach uniwersytetu podziemnego dla garstki studentów. Każdy wykład odbywał się gdzieindziej, raz gdzieś nad Wisłą, innym razem na Wroniej albo u mnie w mieszkaniu na Brzozowej 12. Wykłady te były połączone z pewną trudnością dla mnie; już wtedy serce moje zaczęło niedomagać, a doktor Markert, asystent profesora Orłowskiego, orzekł, że mam początki anginy pectoris. Trudno mnie było jeździć gdzieś na Wronią, bo tramwaje były przepełnione i miejsce w nich trzeba było nieraz zdobywać sobie pięściami. Nie mogłem też studentów przyjmować u siebie, bo nie chciałem narażać domu profesorskiego. Tak więc po kilku wykładach przekazałem tę

robotę panu Sobocińskiemu, który ją chętnie przyjął i poprowadził dalej. Prowadziłem nadto w czasie okupacji wspólnie z profesorem Krokiewiczem seminarium z zakresu logiki starożytnej, na którym czytaliśmy ustępu z *De fato* Cyserona. Później zaś po powrocie pana Sobocińskiego do Warszawy, odbywaliśmy w mieszkaniu profesora Krokiewicza seminaria z logiki matematycznej, w których oprócz mnie i Krokiewicza brali udział Hiż, Słupecki, Sobociński i ks. Salamucha. Referaty opracowywał naprzód Hiż a potem Sobociński. Ja sam zajmowałem się w tym czasie systemem logiki trójwartościowej z dwiema wartościami wyróżnionymi, zaksjomatyzowanym przez Sobocińskiego, do którego dorobiłem teorię kwantyfikatorów i zastosowałem tak utworzoną logikę do arytmetyki liczb naturalnych. Badania te prowadziłem potem dalej za granicą i miałem o nich szereg wykładów w Royal Irish Academy w Dublinie. Okazało się, że można stosować do arytmetyki liczb naturalnych inny system logiczny, niż logikę dwuwartościową, otrzymując wszystkie rezultaty, zdobyte na drodze normalnej, a poza tym szereg zdań nowych właściwych logice trójwartościowej. Nie zdołałem jednak uzyskać dotychczas żadnego zdania nowego, należącego wyłącznie do arytmetyki. Praca naukowa w tych ciężkich czasach przynosiła ukojenie wszystkim, którzy się jej szczerze oddawali.

21-22.7.1949 [s. 70-71]

W związku z logiką trójwartościową pozostaje następująca dziwna historia: C. I. Lewis, profesor uniwersytetu Harvard w Cambridge pod Bostonem zainteresował się pracą, streszczającą wyniki warszawskich badań logicznych, ogłoszoną przeze mnie wspólnie z Tarskim w roku 1930<sup>18</sup>. Praca ta była napisana po niemiecku i przypuszczać należy, że Lewis nie umie po niemiecku, bo w razie przeciwnym niepodobna sobie wytłumaczyć jak mógł autorstwo logik wielowartościowych przypisać mnie wspólnie z Tarskim. We wspomnianej bowiem rozprawce

---

<sup>18</sup> J. Łukasiewicz, A. Tarski, *Badania nad rachunkiem zdań*, w: idem, *Z zagadnień logiki i filozofii*, op. cit., s. 129-143.



wyraźnie jest powiedziane w przypisku 17, że trójwartościowy system logiki zdań Łukasiewicz skonstruował w roku 1920 i ogłosił go w piątym roczniku „Ruchu Filozoficznego” z roku 1920 str. 170, jako streszczenie odczytu, wygłoszonego w Polskim Towarzystwie Filozoficznym we Lwowie<sup>19</sup>. W tym samym przypisku wspomniane są także systemy n-wartościowe, które stworzyłem w roku 1922. Już ten przypisek, zamieszczony w artykule napisanym wspólnie z Tarskim, wystarcza, by przekonać się, że Tarski nie miał nic wspólnego z powstaniem logiki trój- i wielowartościowej. Jeszcze wyraźniej wynika to z drugiej rozprawki, wydanej w tym samym roku i tym samym miejscu, to jest w Sprawozdaniach Wydziału III Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a napisanej po niemiecku wyłącznie przeze mnie pod tytułem *Uwagi filozoficzne o wielowartościowych systemach rachunku zdań*<sup>20</sup>. W rozprawie tej, którą Lewis miał także w rękę, wyraźnie piszę na wstępie, że wielowartościowe systemy rachunku zdań, o których jest mowa w pracy napisanej przeze mnie wspólnie z Tarskim, pochodzą ode mnie. Po ukazaniu się książki Lewisa i Langforda<sup>21</sup>, w której ta pomyłka się znajduje, Tarski na moje życzenie napisał do Lewisa, prosząc go o sprostowanie tej pomyłki. Istotnie, Lewis ogłosił takie sprostowanie w czasopiśmie „The Journal of Philosophy” (Vol. XXX. No. 13, June 22, 1933), w którym pisze: Zamiast przypisywać systemy wielowartościowe, a w szczególności system trójwartościowy, Łukasiewiczowi i Tarskiemu, byłoby rzeczą bardziej odpowiednią przypisywać te systemy samemu profesorowi Łukasiewiczowi z wyjaśniającym przypiskiem u dołu. Profesor Łukasiewicz jest jedynym autorem tych systemów, matryce określające te systemy, definicje zasadniczych idei oraz ich filozoficzna interpretacja pochodzą wyłącznie od niego. Tarski był tylko współpracownikiem w dalszym rozwoju tych systemów. Tyle Lewis.

<sup>19</sup> J. Łukasiewicz, *O pojęciu możliwości*, w: idem, *Logika i metafizyka*, op. cit., s. 237-238.

<sup>20</sup> J. Łukasiewicz, *Uwagi filozoficzne o wielowartościowych systemach rachunku zdań*, w: idem, *Z zagadnień logiki i filozofii*, op. cit.

<sup>21</sup> C. I. Lewis, C. H. Langford, *Symbolic logic*, New York 1932.

Należy zaznaczyć, że inni moi uczniowie więcej zrobili dla rozwoju logiki wielowartościowej, niż Tarski, który tymi zagadnieniami nigdy się nie interesował. Mimo sprostowania Lewisa ukazują się w amerykańskim czasopiśmie „Journal of Symbolic Logic” w dalszym ciągu artykuły, w których logiki wielowartościowe przypisywane są Łukasiewiczowi i Tarskiemu, a Tarski nie prostuje, chociaż przebywa w Ameryce jako profesor uniwersytetu w Berkeley w Kalifornii i do ostatnich lat był prezesem Towarzystwa, które wydaje ów Journal.

[Pod datą 25 i 26.7.1949 (s. 72 i 73) Łukasiewicz wspomina gościńcę, jakiej udzielał mu w podwarszawskiej Kobyłce przyjaciel ks. Salamuchy, ks. Rosłan, oraz pewien niebezpieczny epizod, który przydarzył mu się wraz z żoną, w drodze powrotnej z odczytu profesora Białobrzeskiego.]

28.7.1949 [s. 74]

Ostatni raz byliśmy w Kobyłce w roku 1944 w dzień imienin ks. Rosłana to jest 27 czerwca. Sytuacja w Warszawie była już bardzo napięta. Bolszewicy zbliżali się dzień w dzień i było rzeczą jasną, że zajmą Warszawę. Wiedzieliśmy już wszyscy, że Niemcy wojnę przegrali. Sytuacja, która się wytworzyła zmuszała nas do działania. Mieliśmy przecież dużo wrogów pośród profesorów sympatyzujących z komunizmem. Wynikało to wyraźnie z pewnego incydentu, który zdarzył się na Brzozowej 12. Jeden z lokatorów tego domu, Karaim z pochodzenia, człowiek nieokrzesany i brutal, zabrał klucz od strychu, na którym wisiała nasza bielizna, a gdy żona zażądała klucza od dozorczy Usowicza, zjawił się w korytarzu i zaczął żonie wymyślać. Gdy zaś dostał od żony w twarz za szczególnie bezczelne zachowanie się, powiedział, że idzie ze skargą na żonę do swego kolegi prokuratora i żądać będzie odszkodowania za rzekomo zbite okulary. Istotnie w kilka dni później żona otrzymała wezwanie do prokuratury. Okazało się jednakowoż, że Karaim nie oskarżył żony o uderzenie w twarz i rozbicie okularów, co zresztą było nieprawdą (bo kiedy

dostał w twarz, okularów nie miał) ale o całkiem co innego, co nie miało żadnego związku z zajściem na korytarzu. Oskarżył mianowicie żonę moją o to, że rozgłasza jakoby on był Żydem. Było to ciężkie oskarżenie, bo Żydom groziła śmierć, ale oskarżenie to było całkowicie wysrane z palca. Wiedzieliśmy bowiem oboje bardzo dobrze, że Karaimi wyznają religię mojżeszową, ale nie są Żydami i Niemcy ich za Żydów nie uważali, o czym wiedzieliśmy z Warschauer Zeitung, gdzie był umieszczony wywiad z kapłanem karaimskim i fotografia jego, utrzymany w tonie bardzo sympatycznym dla karaimów. Nasz sąsiad złożył więc w prokuraturii kłamliwe doniesienie na moją żonę. Reakcja kolegów moich na ten haniebny postępek była również haniebna. Gdy przez ks. Salamuchę, który działał za pośrednictwem prog. Białobrzeskiego, zażądałem sądu honorowego spośród profesorów, strona przeciwna nie zgodziła się na to. Gdy zwróciłem się w tej sprawie osobiście do Kotarbińskiego, to ten nie chciał mnie wysłuchać, tak, że musiałem mu powiedzieć „żegnam na zawsze”. Oświadczyłem mu także, że nie będę nigdy wykładał na uniwersytecie bolszewickim. Sprawę na żądanie żony mojej i moje prokuratura umorzyła, my zaś złożyliśmy w kancelarii adwokata Witolda Bayera skargę na Karaima z tym, żeby sprawę wniósł do sądu po zakończeniu wojny.

29.7.1949 [s. 75]

Wspomniałem już, że mój przyjaciel Scholz z Münster pomagał nam ile mógł w czasie okupacji niemieckiej. Troskliwość jego o mnie wprawiała mnie niekiedy w kłopot. Niemcy założyli w Krakowie instytut wschodni, którego celem było wykazać, czego to Niemcy dokonali w Polsce przez wieki całe. Filia tego polakożerczego instytutu znajdowała się w Warszawie. Scholz nie pytając się mnie postarał się, żeby mnie przeniesiono z Archiwum, do tego instytutu. Zrobił to w najlepszej wierze, myśląc, że w instytucie będę miał większą pensję i będę mógł pracować nad swymi rzeczami. Nie zdawał sobie sprawy, że jako Polak mogłem pracować w polskiej instytucji, jaką

było Archiwum Miejskie, ale nie wypadało mi pracować w polako-  
żerczej instytucji niemieckiej. Odmówiłem więc narażając się na  
ewentualne przykrości i pozostałem do końca w Archiwum. W innej  
natomiast sprawie Scholz oddał nam usługę za pośrednictwem tego  
samego Niemca, w którego instytucie chciał mnie ulokować. Dzięki  
temu Niemcowi otrzymaliśmy z początkiem lipca 1944 przepustki  
do Reichu na nasze polskie dowody osobiste. Wobec zbliżającej  
się burzy wojennej postanowiliśmy bowiem wraz z żoną Warszawę  
opuścić i marzyliśmy o wydostaniu się do Szwajcarii. Nie mieliśmy  
jednak dość pieniędzy, by okupić się policji niemieckiej i otrzymać  
pozwolenie na przekroczenie granicy do Szwajcarii. Pocieszano  
nas, że łatwiej nam będzie otrzymać takie pozwolenie w Rzeszy. Do  
Rzeszy zaś przepustki przy pewnej protekcji nietrudno było dostać,  
bo Łódź czyli Litzmannstadt i Włocławek czyli Leslau i Płock,  
nie pamiętam już jak przezwany po niemiecku, były wcielone do  
Rzeszy. Dzięki tym przepustkom zakupiliśmy w kasie kolejowej  
bilety drugiej klasy do Münster i dnia 17 lipca 1944 wsiedliśmy na  
dworcu wschodnim w Warszawie do pociągu pospiesznego, idącego  
do Berlina. Odprowadzał nas na dworzec młody kleryk, kuzyn ks.  
Rosłana, któremu pozostawiliśmy mieszkanie nasze na Brzozowej 12,  
meble nasze i rzeczy, których nie zdołaliśmy wziąć ze sobą. Zaczynał  
się nowy okres w naszym życiu, emigracja.

[Notatka z dnia 31.7.1949 (s. 76) autorstwa Reginy  
Łukasiewiczowej opisuje losy jej siostrzeńca, Bronisława Wolskiego.  
W notatkach z dni 1, 5, 7, 10 i 12.8.1949 (s. 78-82) Łukasiewicz  
wspomina wojenny koszmar, alianckie naloty i głód, który zastał jego  
i jego żonę w Münster. Dalej, we wpisach z dni 13, 14 i 18.8.1949  
(s. 83-85) opisuje pomoc, jakiej udzielił im von Kempster. Prawnik,  
który przed wojną interesował się logiką, za pośrednictwem Scholza  
odszukał Łukasiewiczów i udzielił im schronienia w swym majątku  
w Hembsen. We wpisach z dni 22.8.1949, 4, 6 i 7.9.1949 (s. 86-89)

Łukasiewicz opisuje zajęcie Hembsen przez Amerykanów, pobyt w obozach oficerskich a wreszcie podróż do Brukseli.]

10.9.1949 [s. 90]

W Brukseli byliśmy trzy miesiące, od pierwszego grudnia 1945, do końca lutego 1946. Była tam wtedy liczna kolonia polska, dużo studentów i studentek i garść profesorów z wyższych uczelni. Dostaliśmy pokój w domu akademikzek Rue Meyerbeer 126. Pokój miał centralne ogrzewanie, umywalkę, dwa łóżka polowe, stół i krzesła. Na obiady chodziliśmy do stołowni Bratniej Pomocy Studentów, kuchnia była polska i dość smaczna. Śniadania i kolacje robiliśmy w domu. W Brukseli powstał wtedy polski ośrodek naukowy, na którego czele stał profesor Drewnowski. Ja zostałem zaproszony do rady naukowej tego środka wraz z profesorem Wasilkowskim. Do rady tej należeli przy tym profesor Cybulski, docent Kraczkiewicz, który wkrótce po nas przybył także do Brukseli i inni. O fundusze na ośrodek naukowy starał się Drewnowski i z funduszy tych dostarczanych po części przez rząd polski w Londynie, po części zaś przez Belgów, wypłacał pensje profesorom i stypendia studentom. W tym celu Drewnowski zorganizował duże biuro, które mieściło się w pięknie i kosztownie umeblowanym budynku, a w którym pracowali romanista Rayski jako sekretarz, a senator Wierzbicki Plater i inni jako urzędnicy. Korzystając z tego, że kilku studentów wyraziło chęć studiowania logiki, zorganizowałem dla nich kurs wykładów, które odbywały się w mieszkaniu pana Rayskiego. Na wykłady te chodził jeden z moich dawnych studentów warszawskich Henryk Hiż. Wśród innych studentów wyróżniał się inteligencją student Krzywicki. Nawiązaliśmy także stosunki z profesorami belgijskimi, przede wszystkim z profesorem Barzinem i jego żoną, których poznaliśmy poprzednio na zjeździe w Zurychu. Pani Barzinowa, choć Żydówka, okazała nam dużą życzliwość i pomoc, dostarczając z zasobów Belgijskiego Czerwonego Krzyża ubrania i buty dla mnie i dla mojej

żony. Barzinowie urządzili też dla nas przyjęcie, na które zaprosili brukselskich profesorów filozofii, wśród nich najwybitniejszego z nich, Dupréela. Wśród gości znalazł się dawny mój znajomy z Warszawy a obecnie profesor uniwersytetu w Brukseli, Perelman.

11.9.1949 [s. 91]

Perelman pochodził z Łodzi, ale mieszkał w Belgii i przed ostatnią wojną wyjechał już jako obywatel belgijski do Warszawy, ażeby zapoznać się z warszawską szkołą logiki matematycznej. Młodzież narodowa bojkotowała wówczas Żydów w Uniwersytecie Warszawskim i utrudniała im chodzenie na wykłady. Zdarzyło się, że w przerwie między jednym a drugim wykładem moim w korytarzu przed salą wykładową dobiegł do Perelmana jeden ze studentów narodowych i w mojej obecności uderzył go kułakiem w plecy. Zgromiłem w ostrych słowach tę napaść na gościa, zaprowadziłem Perelmana do pokoju profesorskiego i tylnym wyjściem wypuściłem z budynku. Na początku drugiej godziny wykładowej, która zaczęła się po chwili, raz jeszcze napiętnowałem ten nierozważny podstęp, podkreślając że był on tym haniebniejszy, iż dotyczył gościa z zagranicy. Po wykładzie udałem się do biura uniwersyteckiego i zażądałem przeprowadzenia śledztwa. Dzienniki lewicowe rozdmuchały to zajście i przyczepiły się podkreślenia mojego, że taka przykrość spotkała gościa, insynuując stanowisko, że swoich Żydów bić wolno, a nie wolno bić obcych. Była to oczywiście nieprawda, bo bicia Żydów nigdy nie pochwalałem, ale nigdy przedtem nie miałem okazji wyrazić to stanowisko. Na wykładach moich panował zawsze spokój. Student, który uderzył Perelmana nie należał do mego Wydziału. Perelman zgłosił się potem do mnie dziękując za wzięcie go w obronę i ofiarował się posłać sprostowanie do dzienników, które fałszywie przedstawiły zajście. Podziękowałem mu za tę jego gotowość, ale prosiłem go, by tego nie robił, bo nie warto polemizować z brukowymi gazetami. W Brukseli Perelman powitał nas bardzo serdecznie. Byliśmy kilkakrotnie u niego

w mieszkaniu i poznaliśmy jego żonę. Była to uczennica profesora Handelsmana, mówiła doskonałą polszczyzną i szczyciła się z tego, że jest Żydówką. Zrobiła na nas obojgu jak najlepsze wrażenie.

[We wpisie z dnia 13.9.1949 (s. 92) Łukasiewicz wspomina zaproszenie rządu irlandzkiego do objęcia stanowiska naukowego, swoją decyzję w ten sprawie, jak również podróż do Dublinu przez Londyn.]

14.9.1949 [s. 93]

W Londynie zatrzymaliśmy się przez dwa dni, bo mieliśmy tylko wizy tranzytowe. Na dworcu oczekiwali nas prof. Adam Żółtowski, którego znaleźliśmy już dawniej, i dr Zbigniew Jordan, którego nie znaleźliśmy wcale. Jordan ukończył Uniwersytet w Poznaniu i był mi znany tylko z nazwiska jako autor książki o Platonie<sup>22</sup>. W ciągu wojny napisał po angielsku bardzo pożyteczną pracę o warszawskiej szkole logiki matematycznej<sup>23</sup>. W pracy tej podkreślił zasługi moje w stworzeniu tej szkoły. Pracę tę otrzymałem od niego jeszcze podczas pobytu w Niemczech. Jordan pracował w Londynie w jakimś biurze wojskowym razem z Herbertem i przypuszczam, że on to namówił Herberta, by zajął się naszym losem. Obaj panowie, Żółtowski i Jordan uczynili wszystko, by ułatwić i uprzyjemnić nam nasz krótki pobyt w Londynie. Otrzymaliśmy na dwa dni wygodne mieszkanie prywatne, którego właścicielka wyjechała na weekend, i urządzono dla nas w jakimś hotelu herbatkę, na którą zaproszono przebywających w Londynie polskich naukowców. Wśród innych przybyli na to zebranie generał Kukiel, rektor Brzeski, prof. Klemensiewicz, docent Heitzman i oczywiście Żółtowski oraz Jordan: opowiedziałem zebranim nasze przejścia wojenne po czy rozwinęła się swobodna pogawędka. Wielką

---

<sup>22</sup> Z. Jordan, *O matematycznych podstawach systemu Platona*, Poznań 1937.

<sup>23</sup> Z. Jordan, *The Development of Mathematical Logic and of Logical Positivism in Poland between the two Wars*, w: *Polish Science and Learnings*, Oxford 1945.

niespodzianką było dla mnie spotkanie się z dawnym moim uczniem Czesławem Lejewskim w restauracji „Białego Orła”. Lejewski był filologiem klasycznym, uczniem Krokiewicza i dość późno ku swemu żalowi zapoznał się i zainteresował logiką. Jako temat pracy doktorskiej obrał sobie pewne zagadnienie z zakresu logiki stoickiej. Podczas wojny był oficerem w pułku spadochronowym. Odwiedził nas później w Dublinie. Dnia 4 marca wyjechaliśmy z Londynu w towarzystwie Herberta do Irlandii.

2.10.1949 [s. 94]

Do Irlandii jechaliśmy przez port angielski Holyhead, gdzie wsiedliśmy na okręt, który wylądował w Dunlaoghaire pod Dublinem. Tam po załatwieniu formalności celnych i paszportowych wsiedliśmy do pociągu, który zawiózł nas na stację Westland Row w Dublinie. Na dworcu czekali nas konsul polski w Dublinie Ksawery Zaleski i pan Gałązka, nauczyciel z Polski, który czekał w Dublinie na wizę do Stanów Zjednoczonych. Zostaliśmy umieszczeni oboje i młody chłopiec Andrzej Sozański, którego Herbert przywiózł razem z nami do Dublina, w małym hoteliku przy Upper Fitzwilliam Street 2. W hoteliku tym, który nosił nazwę „Echo”, mieszkał już Polak, wicekonsul Meysztowicz. Mieliśmy w tym hotelu przesiedzieć prawie pół roku, czekając aż wyjaśni się sprawa mojego zatrudnienia w Irlandii i zależna od tej sprawy kwestia mieszkaniowa. Pan Herbert przyszedł nam od razu z wydatną pomocą składając dla nas w banku 200 funtów szterlingów, w Londynie zaś dostaliśmy od rządu polskiego za pośrednictwem profesora Żółtowskiego 50 funtów. Najbardziej jednak pomógł nam Herbert przez to, że następnego dnia zaznajomił nas w hotelu „Shelbourne” z Jezuitą Ojcem Aubrey Gwynn'em. Ojciec ten objął odtąd opiekę nad nami w Irlandii. Sprawa zatrudnienia mojego szła bardzo opornie. Po kilkutygodniowym pobycie zostałem zaproszony do irlandzkiego wiceministra spraw zagranicznych, Pana Walsh'a, z którym odbyłem krótką rozmowę. Obiecał mi, że poprzez sprawę moją u szefa rządu pana De Valery. Pan De Valera jednakowoż



nie miał czasu, aby mnie przyjąć. Tak schodził miesiąc za miesiącem i pieniądze nasze w banku były już na wyczerpaniu. Nareszcie gdzieś w lipcu otrzymałem wezwanie by stawić się w gabinecie premiera. Poszedłem wraz z żoną i oboje nas przyjął Pan De Valera bardzo uprzejmie. Rozmawialiśmy o matematyce, bo on sam był niegdyś nauczycielem matematyki. Powiedział mi, że zajmie się moim losem i słowa dotrzymał. Niebawem zostałem mianowany profesorem logiki matematycznej przy Royal Irish Academy z pensją 500 funtów rocznie.

6.11.1949 [s. 95]

University College Dublin, zwany National University, zaprosił mnie w roku akademickim 1948-49 do wygłoszenia szeregu wykładów z historii logiki greckiej. Wykłady te z powodu choroby serca rozpocząłem dopiero w styczniu 1949. Uczęszczali na te wykłady Ojciec Gwynn, profesor historii średniowiecznej w U.C.D., ks. O'Doherty, profesor logiki i psychologii w U.C.D., Tierney, profesor filologii klasycznej w U.C.D., mój stały wierny słuchacz Meredith, docent matematyki w Trinity College, inny mój słuchacz Amerykanin Bradford, wicekonsul polski Teclaff, oraz grupa kleryków, uczniów ks. O'Doherty. Wykłady odbywały się w Royal Irish Academy. Przed każdym wykładem przyjeżdżał po mnie samochodem swym profesor Tierney wraz z Ojcem Gwynnem i zabierał mnie wraz żoną na wykład, a po wykładzie odwoził nas do domu. W ciągu 12 godzin wykładowych przedstawiłem słuchaczom swym teorię sylogizmu Arystotelesa. Za wykłady te otrzymałem z Uniwersytetu 100 funtów w czterech ratach kwartalnych, ostatnia rata przypadła na dzień 1 lipca. W wykładach swych nie zdołałem zmieścić logiki Stoickiej, myśląc, że będę mógł wypełnić tę lukę w następnym roku akademickim. Ojciec Gwynn jednakowoż, zapytany przez moją żonę, czy i w roku następnym otrzymam z Uniwersytetu zaproszenie do wygłoszenia wykładów, odpowiedział, że wykładów już nie będzie, bo Uniwersytet nie ma pieniędzy. Tymczasem 1 października otrzy-

małem z Uniwersytetu czek na 25 funtów za kwartał do końca grudnia 1949 . Natychmiast zadzwoniłem do Ojca Gwynna zawiadamiając go o tym i dziękując mu za wyjednanie tych wykładów w Uniwersytecie. Ojciec odpowiedział, że nic o tym nie wie i że czek wysłany został prawdopodobnie przez pomyłkę. W kilka dni później Ojciec Gwynn oświadczył mi przez telefon, że czek był wysłany przez pomyłkę w czasie nieobecności prezydenta Uniwersytetu. Jednakowoż mogę ten czek zatrzymać, bo zaproszenie nadejdzie. Następnego dnia, przemyślawszy tę sprawę, odesłałem czek Ojcu z powrotem, pisząc w załączonym liście, że nie mogę korzystać z pomyłki. List ten wraz z czekiem żona moja zaniosiła osobiście do klasztoru Ojców Jezuitów i wyzaliła się przy tym przed Ojcem Gwynnem z innych kłopotów i przykrości, które nas spotykają w Irlandii. Ojciec Gwynn tego samego dnia jeszcze wystosował do mnie list, żebym się zupełnie nie martwił o swoje wykłady w Uniwersytecie, bo on rozmawiał z prezydentem, a prezydent ma intencję zaprosić mnie ponownie. Było [to] dokładnie miesiąc temu, a listu od prezydenta jak nie ma tak nie ma.

[Pod datą 6.11.1949 Łukasiewicz opisał wcześniejsze o dwa dni spotkanie z Ojcem Gwynn'em.]

6.2.1950 [s. 97-98]

Przyjąłem zaproszenie na wykład w Uniwersytecie w Manchester, chociaż zapraszający, a był nim tamtejszy prof. matematyki Newmann, ofiarował mi jako honorarium tylko 10 funtów. Wiedziałem, że to nie wystarczy, by pokryć kosztą podróży, bo po ostatnich atakach sercowych nie mogłem wybrać się w podróż bez opieki swej żony. Zresztą przez wszystkie te lata nie rozstawaliśmy się ze sobą i tym bardziej teraz żona nie byłaby mnie puściła poza morze Irlandzkie samego. Same bilety okrętowe i kolejowe z Dublina przez Liverpool do Manchester i z powrotem kosztowały na dwie osoby blisko 10 funtów, a wszystkie inne wydatki, jak hotel, taksówki, jedzenie musieliśmy opłacać z własnej kieszeni. Mimo to zdecydowałem się pojechać, bo

chciałem przede wszystkim poznać Turinga, który był w Manchester, a którego uważam za najwybitniejszego spośród dzisiejszych logików angielskich (nie liczę ucznia swego, Mereditha, który jest w Irlandii).

[Dalej Łukasiewicz opisuje uciążliwości podróży do Manchester i problemy związane ze znalezieniem hotelu.]

7.2.1950 [s. 99]

(...) Rano tegoż dnia przyszedł do hotelu pan Turing, z którym miałem miłą rozmowę. Wyjaśniłem mu zasady swej beznawiasowej symboliki, myśląc, że może ona mu się przyda przy budowaniu maszyny mającej rozwiązywać zagadnienia matematyczne. Potem pojechaliśmy z Turingiem do Uniwersytetu na lunch i na wykład. Na wykładzie było 20 kilka osób, studentów i asystentów prof. Newmana, wśród nich Naumann i Turing. Miałem elementarny wykład z zakresu teorii dedukcji i zdaje mi się, że wypadł dobrze i podobał się wszystkim. Po wykładzie wróciłem z żoną do hotelu, by odpocząć.

[Pod datami 8 i 11.2.1950 (s. 100-101) Łukasiewicz wspomina dalsze perypetie związane z pokojem hotelowym, oraz kolacje u profesora Newmana.]

7.5.1954<sup>24</sup> [s. 103<sup>25</sup>]

Gdy po atakach sercowych wróciłem do zdrowia, Uniwersytet katolicki w Dublinie zaprosił mnie z wiosną roku 1949 do wygłoszenia serii wykładów z historii logiki starożytnej. Wybrałem logikę Arystotelesa, bo jeszcze przed wojną zacząłem pisać monografię na ten temat, przerwana przez działania wojenne. Po odbyciu wykładów przyszło mi na myśl, że warto by było ogłosić je drukiem. Ale tu nasunęła się trudność. Nie wiedziałem, czy zdołam napisać swe wykłady po angielsku, bo nigdy dotąd w języku tym nie pisałem. Postanowiłem

---

<sup>24</sup> Zwraca uwagę różnica przeszło czterech lat pomiędzy tymże wpisem a wpisem poprzednim.

<sup>25</sup> Brak strony 102 *Pamiętnika*.

jednak spróbować myśląc, że jakiś życzliwy Anglik poprawi moje błędy. Sprawilem sobie Oksfordzki krótki słownik języka angielskiego i przy jego pomocy zacząłem pisać książkę o sylogistyce Arystotelesa<sup>26</sup> w lecie 1949.

Pierwszy rozdział książki poprawił Jezuita Ojciec Little, który przychodził do nas co tygodnia przynosząc z sobą poprawionych kilka kartek rękopisu i zabierając dalsze kartki napisane przeze mnie. Niestety Ojciec Little był już wtedy poważnie chory, miał raka w płucach i umarł w grudniu tegoż roku. Dalsze rozdziały pisałem sam, jak umialem, i w lecie 1950 roku książka była gotowa.

Chodziło teraz o jej wydanie. Zwróciłem się do Prof. Macbeatha w Belfaście, by zechciał zainteresować moją książką znanego arystotelika angielskiego Sir Dawida Ross'a w Oksfordzie. Interwencja Macbeatha była skuteczna i mogłem przesłać rękopis książki Sir Dawidowi. Odpowiedź jego była dla mnie pomyślna, wyraził opinię, że książka ujrzy światło dzienne, tylko język wymaga w kilku miejscach poprawek. Wobec tego wysłałem rękopis do Clarendon Press w Oksfordzie. Dzięki poparciu Prof. Ross'a książka została przyjęta przez Clarendon Press, błędy językowe zostały poprawione przez filologa Rees'a, druk jej został ukończony w sierpniu 1951 roku.

8.5.1954<sup>27</sup>

W ciągu następnych trzech lat książka doczekała się przeszło dwudziestu recenzji w językach angielskim, francuskim, niemieckim i włoskim. Jedyna polska recenzja napisana przez Hiszpana i przełożona z hiszpańskiego na polski ukazała się w paryskiej „Kulturze” w roku 1953. Nie wiadomo mi, czy w komunistycznej „Myśli Filozoficznej”, jedynym czasopiśmie filozoficznym wychodzącym w Polsce, pojawiła się choćby wzmianka o mojej *Sylogistyce Arystotelesa*. Recenzje były przeważnie bardzo pochlebne i na

---

<sup>26</sup> J. Łukasiewicz, *Aristotle's Syllogistics from the Standpoint of Modern Formal Logic*, Oxford 1951.

<sup>27</sup> Brak numeru strony.

wysokim poziomie. Jedna tylko była poniżej poziomu i właśnie ta jedna recenzja była napisana przez Dominikanina, który chodził na moje wykłady w Akademii Irlandzkiej, ale niczego się nie nauczył. Ukazała się ona w czasopiśmie filozoficznym wydawanym przez irlandzki instytut teologiczny w Maynooth.

Kler katolicki w ogromnej większości odnosi się nieufnie do logiki matematycznej, upatrując w niej coś na kształt herezji. Wierząc tylko w logikę Arystotelesa, na której się oparł św. Tomasz z Akwinu, nie zdają sobie sprawy, że logika Arystotelesa, jakkolwiek była wielkim jego dziełem, jest tylko mało znaczącym ułamkiem tej logiki formalnej, którą dziś posiadamy. Tylko niektórzy księża katoliccy przyswoili sobie tę nową logikę i pracują wydatnie zarówno na jej polu systematycznym jak i historycznym. Należał do nich dawny mój uczeń ks. Jan Salamucha, który zajął się historią logiki średnio-wiecznej z punktu widzenia współczesnej logiki formalnej, i miał już piękne prace za sobą, gdy zginął w czasie powstania Warszawskiego w roku 1944. Dzięki Salamusie zainteresował się tak pojętą historią logiki Dominikanin Ojciec Bocheński, obecnie profesor uniwersytetu we Fryburgu Szwajcarskim, autor licznych

[w tym miejscu tekst Pamiętnika urywa się].

*Wybór i opracowanie Piotr Surma*